Franz Kafka

LIST DO OJCA

www.woblink.com

Franz Kafka

LIST DO OJCA

www.woblink.com

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

LIST DO OJCA

Franz Kafka

Najukochańszy Ojcze,

niedawno spytałeś mnie, czemu twierdzę, że odczuwam przed Tobą lęk. Jak zwykle nie wiedziałem, co Ci odpowiedzieć, częściowo właśnie z lęku, który odczuwam wobec Ciebie, a częściowo dlatego, że na uzasadnienie owego lęku musiałbym przytoczyć zbyt wiele szczegółów, zanim bym go w połowie uargumentował. I jeżeli nawet próbuję obecnie odpowiedzieć Ci pisemnie, to i tak nie uczynię tego w pełni, ponieważ podczas pisania też paraliżuje mnie strach przed Tobą i jego konsekwencje, a moja pamięć nie ogarnia ogromu sprawy, która dalece przekracza zdolności mojego rozumu.

Dla Ciebie sprawa była zawsze bardzo prosta, wtedy przynajmniej, kiedy rozmawiałeś o tym ze mną, a także, bez wyboru - z kim popadło. W Twoich oczach wyglądało to mniej więcej tak: całe swoje życie ciężko pracowałeś, poświęciłeś wszystko dzieciom, zwłaszcza mnie, i dlatego mogłem wieść żywot "huczny i buńczuczny", miałem całkowitą swobodę w uczeniu się, nie troszczyłem się o wikt, zupełnie nie miałem powodów do trosk. Nie wymagałeś za to żadnej wdzięczności - Ty znasz "wdzięczność dzieci" - ale choćby jakiegoś zrozumienia, oznaki współczucia; zamiast tego od dawna zaszywałem się w mym pokoju, uciekałem w świat książek, w szalone przyjaźnie, w ekscentryczne pomysły; otwarcie nigdy z Tobą nie rozmawiałem, nigdy nie przychodziłem do Ciebie do templu, nie odwiedzałem Cię

nigdy w Franciszkowych Łaźniach, poza tym również nie miałem poczucia więzi rodzinnej, nie troszczyłem się o sklep i o inne Twoje interesy, pozostawiłem Tobie fabrykę, a potem Cię opuściłem, wspierałem Ottlę w jej uporze i podczas gdy dla Ciebie nie kiwnąłem nawet palcem (ani razu nie przyniosłem Ci biletu do teatru), to dla przyjaciół robiłem wszystko. Gdy podsumowujesz swój wyrok na mnie, to okazuje się, że nie zarzucasz mi nic złego lub wręcz nieprzyzwoitego (może z wyjątkiem moich ostatnich planów matrymonialnych), lecz jedynie chłód, obcość, niewdzięczność. Nawet i to mi zarzucasz, jakby to była moja wina, jak gdybym mógł zmienić wszystko jednym gestem, podczas gdy Ty nie ponosisz najmniejszej winy, oprócz tej chyba, że byłeś dla mnie zbyt dobry.

Tę Twoją utartą opinię o tyle uważam za prawdziwą, o ile sam też uważam, że Ty nie ponosisz winy za oziębienie naszych stosunków. Ale w tym samym stopniu jestem całkowicie bez winy również i ja. Gdybym potrafił jeszcze nakłonić Cię do uznania tego, wtedy byłoby możliwe wprawdzie nie nowe życie - na to jesteśmy obaj za starzy - ale coś w rodzaju pojednania, nie zaprzestanie, ale choćby złagodnienie Twych ustawicznych wymówek.

Dziwnym zbiegiem okoliczności przeczuwasz niejako, o czym chcę mówić. Powiedziałeś na przykład do mnie niedawno: "Zawsze Cię lubiłem; jeśli nawet pozornie nie byłem dla Ciebie taki, jakimi bywają inni ojcowie, to właśnie dlatego, że nie potrafiłem się maskować tak jak tamci." Nigdy, Ojcze, mówiąc szczerze, nie wątpiłem w Twą dobroć dla mnie, ale tej uwagi nie uważam za słuszną. Nie potrafisz się maskować, to prawda, ale jeżeli chcesz tylko z tego powodu twierdzić, że inni ojcowie to robią, to jest to albo jawny upór, wobec którego nie ma co dalej dyskutować, albo też - i moim zdaniem tu jest sedno sprawy - zawoalowany wyraz tego, że między nami jest coś nie w porządku i że Ty

byłeś współwinnym temu, choć mimowolnie. Jeżeli rzeczywiście tak myślisz, wówczas jesteśmy zgodni.

Nie mówię naturalnie, że tym, czym jestem, stałem się tylko pod Twoim wpływem. Byłaby to gruba przesada (a ja poniekąd skłaniam się ku tej przesadzie). Bardzo łatwo można przyjąć, że gdybym nawet wyrósł całkowicie niezależnie od Twego wpływu, nie stałbym się mimo to takim, jakiego pragnęłoby Twoje serce. Prawdopodobnie byłbym słabowitym, zalęknionym, niezdecydowanym, niespokojnym człowiekiem, ani Robertem Kafką, ani Karolem Hermannem, ale całkiem inny niż jestem naprawdę, i moglibyśmy świetnie żyć ze sobą w zgodzie. Byłbym bardzo szczęśliwy, gdybyś był moim przyjacielem, szefem, wujem, dziadkiem, ba, nawet (chociaż już wahając się) gdybyś był moim teściem. Tylko właśnie jako Ojciec byłeś zbyt mocny dla mnie, szczególnie że moi bracia młodo umarli, a siostry przyszły na świat dopiero znacznie później, i ja, całkowicie sam, musiałem wytrzymać pierwszy cios; byłem na to o wiele za słaby.

Porównaj nas obu: ja, aby zwięźle to wyrazić, Löwy - z pewnymi cechami kafkowskimi, które jednak nie przejawiły się w kafkowskiej witalności, w kafkowskim zmyśle kupieckim i w żądzy posiadania, lecz które dzięki löwy'owskiej naturze, bardziej skrytej i bardziej lękliwej, zwracają się w innym kierunku, a czasem w ogóle zanikają. Ty natomiast jesteś prawdziwym Kafką - ze swoją energią, zdrowiem, apetytem, siłą głosu, zadowoleniem z siebie, z poczuciem wyższości wobec świata, z opanowaniem, znajomością ludzi, pewną dozą wspaniałomyślności - naturalnie ze wszystkimi przynależnymi tym przymiotom słabościami i wadami, w które wpędza Cię Twój temperament, a niekiedy i Twoja popędliwość. Nie jesteś może całkowicie Kafką z Twym ogólnym rozumieniem świata, jeśli Cię porównam z wujem Filipem, Ludwikiem,

Henrykiem. To ciekawe, i dla mnie sprawa ta nie jest zupełnie jasna. Wszyscy oni byli przecież weselsi, bardziej dziarscy, swobodniejsi, bardziej niefrasobliwi, nie tak surowi jak Ty. (Wiele zresztą z tego po Tobie odziedziczyłem i tym dziedzictwem o wiele za dobrze gospodarowałem, nie mając w swojej naturze tej niezbędnej przeciwwagi, którą Ty masz). Z drugiej strony Ty również pod tym względem miałeś różne okresy, bywałeś może i weselszy, póki Cię nie zgnębiły i rozczarowały dzieci, zwłaszcza ja (gdy przychodzili obcy, bywałeś przecież inny), i może teraz stałeś się znów pogodniejszy, ponieważ wnuki i zięć dają Ci coś z tego ciepła, którego dzieci, chyba z wyjątkiem Valli, nie potrafiły Ci dać. W każdym razie byliśmy tak różni i w tej różności tak dla siebie niebezpieczni, że gdyby można było z góry przewidzieć, jak będziemy się zachowywać jeden wobec drugiego, ja, powoli rozwijające się dziecko, i Ty, dojrzały mężczyzna, to prawdopodobnie można by przyjąć, że mnie po prostu stratujesz, że nic ze mnie nie pozostanie. A jednak tak się nie stało, w życiu nie da się wszystkiego wykalkulować, za to stało się chyba coś gorszego. Przy czym proszę Cię, abyś nie zapomniał, że zawsze byłem jak najdalszy od uwierzenia w Twą winę. Oddziaływałeś na mnie, tak jak umiałeś, powinieneś był jedynie przestać uważać za szczególną złośliwość z mojej strony fakt, że padam ofiarą tego oddziaływania.

Byłem lękliwym dzieckiem; mimo to bywałem z pewnością również krnąbrny, jak inni w mym wieku; z pewnością matka też mnie rozpieszczała, ale nie mogę uwierzyć, że byłem szczególnie trudny do wychowania; nie mogę uwierzyć, że przyjaznym słowem, łagodnym ujęciem za rękę, dobrym spojrzeniem nie udałoby się skłonić mnie do zrobienia wszystkiego, czego by chciano. Jesteś zasadniczo dobrym i łagodnym człowiekiem (to, co będzie napisane dalej, nie przeczy temu, mówię przecież tylko o sposobie, w jaki oddziaływałeś na dziecko), ale nie każde dziecko ma tyle

wytrwałości i odwagi, aby tak długo doszukiwać się dobroci. Potrafisz tylko tak traktować dziecko, jak Ciebie traktowano: energicznie, hałaśliwie i porywczo, i w tym przypadku wydaje Ci się to nawet bardzo stosowne, ponieważ zamierzałeś wychować mnie na silnego, dziarskiego i odważnego młodzieńca.

Twoich metod wychowawczych z lat najwcześniejszych nie potrafię dzisiaj, rzecz oczywista, opisać, ale mogę je sobie mniej więcej wyobrazić, wnioskując z późniejszych lat oraz z Twego sposobu traktowania Feliksa. Sprawę zaostrza jeszcze fakt, że byłeś wtedy młodszy, a więc energiczniejszy, dzikszy, bardziej pierwotny, jeszcze bardziej beztroski niż dzisiaj, oraz to, że byłeś całkowicie zajęty sklepem i pokazywałeś mi się zaledwie raz na dzień, przez co wywierałeś na mnie tym głębsze wrażenie, które omal nie przerodziło się w przyzwyczajenie.

Dokładnie przypominam sobie tylko jedno zajście z wczesnego dzieciństwa. Ty też może jeszcze je pamiętasz. Pewnego razu w nocy bez ustanku marudziłem o trochę wody, zapewne nie z pragnienia, ale prawdopodobnie po to, aby Cię nieco poirytować, po części zaś, aby się zabawić. Gdy nie pomogły surowe upomnienia, zabrałeś mnie z łóżka, zaniosłeś na długi, drewniany balkon i na chwilę zostawiłeś samego, w koszuli, pod zamkniętymi drzwiami. Nie chcę powiedzieć, że to było niewłaściwe, może wtedy naprawdę nie można było w inny sposób uzyskać spokoju w nocy, chcę jednak przez to scharakteryzować Twoje metody wychowawcze i ich oddziaływanie na mnie. Potem byłem już chyba posłuszny, ale pozostał mi z tego wewnętrzny uraz. Nigdy nie potrafiłem doszukać się właściwego związku pomiędzy tym zrozumiałym dla mnie, bezsensownym proszeniem o wodę, a niezwykłą ohydą wyniesienia mnie na balkon. Jeszcze po latach cierpiałem z powodu dręczącego wyobrażenia, że ogromny mężczyzna, mój Ojciec, najwyższa

instancja, mógł przyjść i prawie bez powodu wynieść mnie w nocy z łóżka na balkon, i że ja tak zupełnie nic nie znaczyłem dla niego.

Wtedy był to tylko skromny początek, ale to ogarniające mnie często poczucie marności (skądinąd również uczucie szlachetne i płodne) wywodzi się pod wieloma względami z Twojego wpływu.

Potrzebowałem nieco zachęty, przyjaźni, pozostawienia mi trochę samodzielności w wyborze drogi; zamiast tego zmieniłeś mi ją, ma się rozumieć w dobrych intencjach, bo powinienem iść inną drogą. Ale do tego się nie nadawałem. Na przykład przyklaskiwałeś mi, gdy pięknie salutowałem i maszerowałem, ale ja nie byłem materiałem na żołnierza, albo przyklaskiwałeś mi, gdy potrafiłem tęgo jeść i nawet popijać piwem, albo gdy potrafiłem wyśpiewywać piosenki, których nie rozumiałem, lub gdy klepałem Ci Twoje ulubione frazesy. Ale nic z tego nie miało związku z moją przyszłością. I jest znamienne, że nawet dzisiaj właściwie tylko wtedy dodajesz mi otuchy, gdy sam jesteś wplątany w kłopoty, gdy chodzi o Twoje poczucie godności, które obrażam (na przykład moimi planami matrymonialnymi) lub które we mnie jest obrażane (gdy dajmy na to Peppo mnie zwymyśla). Wtedy dodaje mi się odwagi, przypomina o mojej wartości, wskazuje na partie matrymonialne, do których mógłbym sobie rościć pretensje, a Peppo zostaje całkowicie potępiony. Pominąwszy fakt, że w moim obecnym wieku jestem już prawie niewrażliwy na oklaski, co mi one pomogą, skoro pojawiają się tylko wtedy, gdy przede wszystkim nie o mnie chodzi.

Wówczas, i to ze wszech miar właśnie, wówczas potrzeba mi było otuchy. Byłem przecież już i tak przytłoczony Twoją obnażoną cielesnością. Przypominam sobie na przykład, jak kilkakrotnie rozbieraliśmy się razem w jednej kabinie. Ja

mizerny, wątły, szczupły, Ty krzepki, ogromny, szeroki. Już w kabinie wydawałem się sobie nędzny, i to nie tylko wobec Ciebie, lecz wobec całego świata, ponieważ stanowiłeś dla mnie miarę wszechrzeczy. A gdy wychodziliśmy z kabiny między ludzi, ja u Twojej ręki, mały szkielecik, niepewny, boso na molo, bojący się wody, niezdolny do powtarzania Twoich ruchów pływackich, które mi wciąż pokazywałeś, w dobrej wierze, ale faktycznie ku memu najgłębszemu zawstydzeniu - bywałem wtedy wprost zrozpaczony i moje przykre doświadczenia we wszystkich dziedzinach splatały się w tych momentach ze sobą nad wyraz harmonijnie. Najlepiej jeszcze czułem się wtedy, gdy czasami rozbierałeś się pierwszy, a ja zostawałem sam w kabinie i odwlekałem hańbę mego publicznego wystąpienia, póki nie przyszedłeś w końcu zajrzeć do kabiny i nie wypędziłeś mnie z niej. Byłem Ci wdzięczny za to, że zdawałeś się nie zauważać mojej nędzy, byłem też dumny z budowy ciała mojego Ojca. Do dziś zresztą jest między nami podobna różnica.

Temu z kolei odpowiadała Twoja duchowa nade mną hegemonia. Dzięki własnej pracy zaszedłeś tak wysoko i dlatego miałeś bezgraniczne zaufanie do swojej opinii. Dla mnie jako dziecka nie było to tak jaskrawe jak później dla dorastającego młodego mężczyzny, Ze swego fotela rządziłeś światem. Słuszne było tylko Twoje zdanie, każde inne było niewydarzone, ekstrawaganckie, meszygene, nienormalne. Nadto Twoje zadufanie w sobie było przy tym tak wielkie, że zupełnie nie potrzebowałeś być konsekwentnym, a mimo to nie przestawałeś mieć racji. Zdarzało się również, że w jakiejś sprawie nie miałeś wcale wyrobionego zdania, a wówczas wszystkie na ten temat możliwe opinie musiały być bez wyjątku fałszywe. Potrafiłeś na przykład wymyślać na Czechów, potem na Niemców, potem na Żydów, jak popadło, na każdy temat, tak że w końcu nie ostawał się nikt prócz Ciebie. Nabrałeś dla mnie tajemniczych cech, właściwych wszystkim tyranom, których

prawo opiera się na ich osobie, a nie na rozumie. Tak mi się przynajmniej wydawało.

Zdumiewająco często miewałeś zresztą w porównaniu ze mną rację, w rozmowie było to zrozumiałe samo przez się, gdyż do rozmów prawie nie dochodziło, ale i w rzeczywistości. Lecz również i to nie było niczym szczególnie niepojętym; mój cały sposób myślenia znajdował się pod Twoją potężną presją, również i ten, który nie zgadzał się z Twoim, i to zwłaszcza ten. Wszystkie moje pomysły, pozornie niezależne od Ciebie, były od samego początku obciążone Twoim nieprzychylnym sądem; było wprost niemożliwością, aby to wytrzymać aż do całkowitego i trwałego spełnienia zamiaru. Nie mówię tu o jakichś górnolotnych ideach, ale o każdym moim pomyśle z okresu dzieciństwa. Wystarczyło tylko, żebym poczuł się czymś uszczęśliwiony, przepełniony czymś i żebym przyszedł do domu i powiedział o tym, a już odpowiedzią było ironiczne westchnienie, kiwanie głową, bębnienie palcami w stół: "widziałem już piękniejsze rzeczy" albo "mam tego po dziurki w nosie", albo "nie mam na to głowy", albo "no to kup sobie coś za to", albo "też mi wielka rzecz". Naturalnie, nie można było wymagać od Ciebie uniesień przy każdej drobnej, dziecięcej satysfakcji, gdy Ty żyłeś swoimi zmartwieniami i kłopotami. Bo też i nie chodziło o to. Chodziło przede wszystkim o to, że Ty takie rozczarowania musiałeś dziecku gotować stale i wciąż z racji swej sprzecznej natury, co więcej, ten Twój sprzeciw, na skutek nawarstwiania się różnych spraw, stale narastał, tak że w końcu dawał o sobie znać już z przyzwyczajenia, nawet gdy czasem byłeś tego samego zdania co ja; i chodziło o to, że te dziecięce rozczarowania nie były rozczarowaniami codziennego życia, lecz - jako że chodziło o Twoją osobę będącą miarą wszystkiego - dotyczyły samej istoty rzeczy. Nie starczało do końca odwagi, stanowczości, wiary, radości z tego lub owego, gdy Ty byłeś temu przeciwny lub gdy tylko założyło się Twój sprzeciw; a założyć go można było niemal

przy wszystkim, czego się tylko tknąłem. Dotyczyło to w tej samej mierze myśli, co i ludzi. Wystarczyło, że nieco zainteresowałem się jakimś człowiekiem - co zdarzało się niezbyt często wskutek mojej natury - żebyś Ty już energicznie wtrącał się z wymyślaniem, kalumnią, czy poniżaniem, zupełnie nie zwracając uwagi na moje uczucia i nie zważając na mój sąd. Niewinni prości ludzie, jak na przykład aktor żydowski Löwy, musieli to odpokutować. Nie znając człowieka, porównywałeś go w straszliwy sposób, zapomniałem już w jaki, do robactwa, a jakże często w stosunku do ludzi, których lubiłem, automatycznie i jak na zawołanie używałeś przysłowia o psach i pchłach. Zwłaszcza wspominam tu aktora, ponieważ Twoje powiedzenie o nim zapisałem sobie wtedy wraz z notatką: "Tak mówi mój Ojciec o moim przyjacielu (którego wcale nie zna) dlatego tylko, że to mój przyjaciel. Będę mógł Mu to zawsze zarzucić, gdy będzie mi wymawiał mój brak dziecięcej miłości i wdzięczności." Niezrozumiała była dla mnie Twoja całkowita nieczułość na to, jakie cierpienie i hańbę mogłeś mi wyrządzić Twoimi słowami, było to tak, jak gdybyś nie miał zupełnie wyczucia Twojej władzy. Ja też z pewnością sprawiałem Ci często przykrość słowami, lecz wtedy zawsze o tym wiedziałem, bolało mnie to, jednak nie mogłem pohamować się, powstrzymać słowa, żałowałem tego już w tym samym momencie. Ty zaś uderzałeś swoim słowem od razu, bez ceregieli, nikt nie sprawiał Ci przykrości, ani wtedy, ani później, było się wobec Ciebie zupełnie bezbronnym.

Lecz takie było Twoje całe wychowanie. Masz talent wychowawczy, wierzę; człowiekowi Twego pokroju zapewne mógłbyś przez wychowanie przyczynić wiele pożytku; on pojąłby słuszność tego, co byś mu powiedział, nie troszczyłby się o nic innego i spokojnie robił swoje. Jednak dla mnie jako dziecka wszystko, co mi mówiłeś, było po prostu niebiańskim przykazaniem, nigdy go nie

zapominałem, było najważniejszym środkiem oceny świata, przede wszystkim oceny Ciebie, a tu zupełnie zawodziłeś. Ponieważ jako dziecko spotykałem się z Tobą głównie przy jedzeniu, Twoja nauka była po większej części nauką właściwego zachowywania się przy stole. To, co podawano na stół, musiało zostać zjedzone, jakości jedzenia nie było wolno krytykować - Ty zaś często znajdowałeś jedzenie niesmaczne, nazywałeś je "żarciem"; to "bydlę" (kucharka) zepsuło wszystko. Ponieważ odpowiednio do Twojego potężnego głodu i szczególnego zamiłowania jadłeś wszystko szybko, gorące i wielkimi kawałami, dziecko musiało się spieszyć, przy stole panowała ponura cisza przerywana upomnieniami: "najpierw zjedz, potem mów" albo "szybciej, szybciej, szybciej", albo "widzisz, ja już dawno zjadłem". Nie wolno było ogryzać kości, Tobie tak. Nie wolno było chłeptać octu, Tobie tak. Rzeczą najważniejszą było to, aby chleb był równo pokrojony; ale że robiłeś to nożem ociekającym od sosu, to było nieważne. Należało uważać, aby żadna okruszynka nie upadła na podłogę, a w końcu pod Tobą leżało ich najwięcej. Przy stole wolno było być zajętym tylko jedzeniem, ale Ty czyściłeś i obcinałeś sobie paznokcie, temperowałeś ołówki, wykałaczką przetykałeś uszy. Ojcze, proszę, zrozum mnie właściwie, same w sobie były to całkowicie nic nieznaczące drobnostki, przytłaczające stawały się dla mnie dopiero dlatego, że Ty, człowiek będący dla mnie wielkim wzorem, Ty sam nie trzymałeś się tych nakazów, które na mnie nakładałeś. Przez to świat dzielił mi się na trzy części: jedną, gdzie ja, niewolnik, żyłem wśród praw wymyślonych tylko dla mnie, i którym na domiar, nie wiedzieć czemu, nigdy w pełni nie mogłem sprostać - następnie drugi świat, nieskończenie oddalony od mojego, w którym żyłeś Ty, zajęty rządzeniem, wydawaniem rozkazów i gniewaniem się z powodu ich niespełniania, i w końcu trzeci świat, gdzie żyli pozostali ludzie, szczęśliwi i wolni od rozkazów oraz posłuchu. Wciąż żyłem w hańbie; gdy byłem posłuszny Twoim rozkazom, była

to hańba, bo one obowiązywały tylko mnie, czy też gdy byłem krnąbrny, to też była hańba, jak bowiem mogłem być wobec Ciebie krnąbrny lub nieposłuszny, skoro nie posiadałem, na przykład, Twej siły, Twego apetytu, Twej zręczności pomimo iż wymagałeś tego ode mnie jak czegoś zrozumiałego samo przez się; była to w samej rzeczy największa hańba. Taka oto atmosfera towarzyszyła nie zamysłom, lecz dziecięcym uczuciom.

Ówczesne moje położenie stanie się może wyrazistsze, gdy je porównam z sytuacją Feliksa. Jego traktujesz przecież podobnie, co więcej, stosujesz wobec niego szczególnie okrutny środek wychowawczy, nie zadowalając się, gdy przy jedzeniu zrobi coś, co Twoim zdaniem jest nieprzyzwoite, tym, co wówczas do mnie mówiłeś: "jesteś wielką świnią", lecz dodajesz jeszcze "wypisz-wymaluj Herman" albo "dokładnie jak twój ojciec". Teraz jednak chyba nie szkodzi to Feliksowi w sposób zasadniczy - więcej niż "chyba" nie można powiedzieć - ponieważ dla niego jesteś zapewne tylko szczególnie ważnym dziadkiem, ale przecież nie wszystkim, tak jak byłeś dla mnie, poza tym Feliks to spokojny, w pewnym względzie już teraz męski charakter; da się zaskoczyć Twemu piorunującemu głosowi, lecz nie pozwoli opanować na stałe, a przede wszystkim Feliks jest z Tobą stosunkowo rzadko, znajduje się też pod różnymi innymi wpływami, jesteś dla niego raczej jakąś miłą osobliwością, z której może sobie wybrać to, co zechce wziąć. Dla mnie nie byłeś żadną osobliwością, wybierać nie mogłem, musiałem przyjmować wszystko.

I to nawet bez możliwości zaprotestowania przeciw temu, ponieważ dotychczas nie stać Cię, aby spokojnie mówić o jakiejś sprawie, na którą się nie zgadzasz lub która po prostu nie wyszła od Ciebie; nie pozwala na to Twój despotyczny temperament. Ostatnimi laty tłumaczysz to swoją nerwicą serca, nie wiedziałem, żebyś kiedykolwiek miał inny sposób

bycia, co najwyżej Twoja nerwica służy Ci jako środek surowszego sprawowania władzy, ponieważ myśl o niej musi tłumić w człowieku ostatni opór. To nie jest naturalnie żaden zarzut, tylko stwierdzenie faktu. Jeśli chodzi o Ottlę, zazwyczaj mawiasz: "przecież z nią w ogóle nie można rozmawiać, skacze człowiekowi od razu do oczu", ale w rzeczywistości to ona wcale pierwsza "nie skacze do oczu"; Ty mylisz sprawę z osobą; sprawa kłuje Cię w oczy i Ty natychmiast wyrokujesz o niej bez wysłuchania osoby: to, co później będzie powiedziane, może Cię tylko jeszcze bardziej rozdrażnić, nigdy przekonać. Wtedy słyszy się tylko od Ciebie: "rób, co chcesz; nie jesteś ode mnie zależny; jesteś pełnoletni, nie będę Ci dawał żadnych rad", a wszystko mówisz tym straszliwym schrypniętym głosem, z nutą gniewu i całkowitego potępienia, przed którym dlatego tylko dzisiaj mniej drżę niż w dzieciństwie, że wyłączne poczucie winy dziecka zostało częściowo zastąpione przez wniknięcie w bezradność nas obu.

Niemożność nawiązania normalnego kontaktu miała jeszcze jedno, właściwie bardzo naturalne następstwo: oduczyłem się mówić. I tak chyba nie byłbym i bez tego żadnym wielkim mówcą, ale opanowałbym przynajmniej zwykłą płynną ludzką mowę. Ty jednak już wcześniej zabroniłeś mi mówić, Twoja pogróżka: "ani słowa sprzeciwu!" i ponadto podniesiona ręka towarzyszyły mi już od dawna. Odziedziczyłem po Tobie - jeśli chodzi o Twoje sprawy, jesteś wspaniałym mówcą - zacinający się, bełkotliwy sposób mówienia, chociaż to również było dla Ciebie za wiele, w końcu zamilkłem, poczawytkowo może z uporu, a potem dlatego, że w Twojej obecności nie mogłem ani myśleć, ani mówić. A ponieważ byłeś moim jedynym wychowawcą, pozostawiło to wszędzie ślady w moim życiu. To w ogóle osobliwa pomyłka, jeśli sądzisz, że nigdy nie byłem Tobie posłuszny. "Zawsze wszystko contra" nie było w rzeczywistości moją maksymą życiową wobec Ciebie.

Przeciwnie: gdybym był Tobie mniej posłuszny, byłbyś zapewne bardziej zadowolony ze mnie. Owszem, Twoje wszystkie przedsięwzięcia wychowawcze skutecznie we mnie ugodziły; nie uniknąłem żadnego z nich, taki, jaki jestem (naturalnie nie uwzględniając zasad i wpływu życia), to rezultat Twego wychowania i mojej powolności. Że ten rezultat mimo to bardzo Ci doskwiera, ba, co więcej, to że wzbraniasz się nieświadomie przed uznaniem go za rezultat wychowania, ma swoją przyczynę w tym, że Twoja ręka i ja jako materiał wzajemnie są tak obce. Powiedziałeś: "ani słowa sprzeciwu!", i chciałeś tym zmusić do milczenia niemiłe Tobie przeciwne siły tkwiące we mnie, to było jednak dla mnie za silne, byłem zbyt powolny, zamilkłem całkiem, kryłem się przed Tobą i ośmielałem się poruszyć dopiero wtedy, gdy byłem tak oddalony od Ciebie, że Twoja władza, bezpośrednio przynajmniej, już mnie nie dosięgała. Ty jednak obstawałeś przy swoim i wszystko wydawało Ci się "contra", podczas gdy było to zrozumiałe samo przez się następstwo Twojej siły, a mojej słabości.

Twoimi środkami oratorskimi przy wychowaniu, w najwyższym stopniu skutecznymi, wobec mnie przynajmniej nigdy niechybionymi, były: obelgi, pogróżki, ironia, złośliwy śmiech i - osobliwe - samooskarżanie.

Abyś mi kiedy wprost wymyślał, tego nie mogę sobie przypomnieć. Nie było to nawet i konieczne, miałeś tyle innych środków, również podczas rozmów w domu, a zwłaszcza w sklepie, przekleństwa przelatywały wokoło mnie w takiej ilości, że jako mały chłopak bywałem tym niekiedy prawie oszołomiony i nie miałem powodu nie brać ich również do siebie, ponieważ ludzie, którym wymyślałeś, zapewne nie byli gorsi niż ja, a Ty nie byłeś z pewnością bardziej niezadowolony z nich niż ze mnie. Także i tu pojawiała się znów Twoja zagadkowa niewinność i nietykalność, przeklinałeś, nie mając sobie z tego powodu

nic do wyrzucenia, a przecież potępiałeś przeklinanie u innych i zabraniałeś tego. Obelgi wzmacniałeś pogróżkami, i to również było tylko dla mnie. Straszliwe było dla mnie na przykład to: "rozerwę cię na strzępy", pomimo iż przecież wiedziałem, że nic gorszego po tym nie nastąpi (jako małe dziecko zupełnie tego nie wiedziałem), lecz pasowało do moich wyobrażeń o Twojej mocy, że byłbyś zdolny nawet do tego. Okropne też było, gdy Ty wrzeszcząc biegałeś wokoło stołu, aby kogoś pochwycić, oczywiście łapać nie zamierzałeś, ale przecież na to wyglądało, i w końcu matka któreś na niby ratowała. Znów uchodziło się z życiem, w mniemaniu dziecka, dzięki Twej łasce i niosło się je dalej jak Twój niezasłużony dar. Należą tu także pogróżki z powodu skutków nieposłuszeństwa. Gdy zaczynałem robić coś, co Tobie się nie podobało, i wróżyłeś mi fiasko, to lęk przed Twoją opinią był tak ogromny, że fiasko, chociaż dopiero w późniejszym okresie, następowało nieuchronnie.

Straciłem zaufanie do własnego działania. Byłem niestały, niepewny. Im byłem starszy, tym większy był materiał obciążający, który mogłeś mi przedstawić na dowód mojej bezwartościowości; stopniowo zacząłeś w pewnym sensie mieć naprawdę rację. Znów wystrzegam się twierdzenia, że stałem się taki tylko przez Ciebie; spotęgowałeś tylko to, co było we mnie, lecz spotęgowałeś to bardzo, bo byłeś bardzo potężny w porównaniu ze mną i używałeś na to całej Twej mocy.

Szczególne zaufanie miałeś do ironii jako środka wychowawczego, ona też była najlepszym odpowiednikiem Twojej przewagi nade mną. Upomnienie miało zazwyczaj u Ciebie taką postać: "Czy nie możesz tego zrobić tak a tak? To już chyba za dużo dla Ciebie? Nie masz oczywiście na to czasu?" i tym podobne. Każdemu takiemu pytaniu towarzyszył złośliwy uśmiech i złośliwy wyraz twarzy. Było się niejako już ukaranym, zanim się jeszcze wiedziało, że

zrobiło się coś złego. Denerwujące były również te upomnienia, w których się było traktowanym w trzeciej osobie, a więc było się niegodnym nawet złośliwej reprymendy; gdy Ty na przykład prawie oficjalnie mówiłeś do matki, ale właściwie do mnie siedzącego tuż obok: "Tego od pana syna naturalnie nie można uzyskać" i tym podobne. (Miało to taki skutek dla przykładu, że nie śmiałem, a potem z przyzwyczajenia zupełnie nie myślałem o tym, aby bezpośrednio Ciebie o cokolwiek pytać, jeśli matka była obok. Dla dziecka było o wiele mniej niebezpieczne zapytać o Ciebie matkę siedzącą obok, pytało się wtedy: "Jak się czuje Ojciec?", i w ten sposób było się zabezpieczonym przed niespodziankami.) Bywały również przypadki, gdy człowiek zgadzał się z najbardziej ciętą ironią, mianowicie wtedy, gdy trafiała ona kogo innego, na przykład Elli, z którą od lat nie żyłem w zgodzie.

Było to dla mnie święto zła i złośliwej satysfakcji, gdy prawie przy każdym jedzeniu słyszało się o niej mniej więcej tak: "Ona to musi siedzieć dziesięć metrów od stołu, ta beczka", i gdy Ty potem na fotelu, zagniewany, bez najmniejszego śladu przyjacielskości lub dowcipu, lecz jak zawzięty wróg z przesadą przedrzeźniałeś ją, siedzącą przy stole w sposób, Twoim zdaniem, rażący. Jak często to się musiało powtarzać, jak niewiele w istocie rzeczy przez to osiągnąłeś. Sądzę, że przyczyna leżała w tym, że wydatek gniewu i złośliwości był nieproporcjonalny do samej sprawy, nie miało się uczucia, że gniew został spowodowany tą drobnostką, siedzeniem daleko od stołu, lecz że od razu był pod ręką w całym swym ogromie i jakby po prostu tylko przypadkowo wykorzystał tę sprawę jako pretekst do wybuchu. Ponieważ było się przekonanym o tym, że sposobność znalazłaby się w każdym przypadku, człowiek szczególnie się nie wysilał, a nawet tępiał pomiędzy trwającymi bez przerwy pogróżkami; że nie dostanie się lania, tego było się w miarę upływu czasu prawie pewnym. Człowiek stawał się ponurym,

roztargnionym, nieposłusznym dzieckiem, przemyśliwującym wciąż o ucieczce, najczęściej wewnętrznej. Tak cierpiałeś Ty, tak cierpieliśmy i my. Z Twojego punktu widzenia miałeś rację, gdy z zaciśniętymi zębami i gardłowym śmiechem, co wywoływało u dziecka zrazu diabelskie wyobrażenia, zwykłeś mawiać z goryczą (jak dopiero co przed kilku dniami z powodu pewnego listu z Konstantynopola): "To ci towarzystwo!"

Zupełnie nie dawało się pogodzić z Twoim stanowiskiem wobec dzieci to, że skarżyłeś się publicznie, a przecież zdarzało się to bardzo często. Przyznaję, że jako dziecko (i chyba później) zupełnie nie wiedziałem, o co chodzi, i nie rozumiałem, jak w ogóle mogłeś oczekiwać, że znajdziesz współczucie. Byłeś w każdym względzie tak ogromny; czyż mogło Ci zależeć na naszym współczuciu lub nawet na naszej pomocy? Właściwie musiałbyś tym pogardzać, tak jak często nami pogardzałeś. Dlatego też nie wierzyłem w te skargi i doszukiwałem się poza nimi jakichś tajemniczych intencji. Później dopiero pojąłem, że rzeczywiście bardzo cierpiałeś z powodu dzieci; wtedy jednak, kiedy skargi mogły jeszcze spotkać się z dziecięcą, wyraźną, spontaniczną gotowością do wszelkiej pomocy, wtedy musiały mi się wydawać znów jedynie przesadzonym środkiem wychowawczym, upokarzającym, niezbyt silnym, ale ze szkodliwym oddziaływaniem ubocznym, polegającym na tym, że dziecko przywykało do tego i nie brało zbyt poważnie rzeczy, które właśnie powinno było poważnie traktować. Na szczęście bywały również wyjątki, wtedy najczęściej, gdy cierpiałeś milcząc, a miłość i dobro pokonywały i obejmowały wszystko swoją siłą. Rzadko co prawda tak bywało, ale to było cudowne. Na przykład gdy widywałem Cię niegdyś w sklepie, latem w skwarne popołudnie, zmęczonego i nieco sennego, z łokciami na ladzie; albo gdy w niedzielę wymęczony przyjeżdżałeś do nas na letnisko; albo gdy podczas ciężkiej choroby mamy

dygocąc od płaczu uchwyciłeś się półki z książkami; albo podczas mojej ostatniej choroby cicho zaszedłeś do mnie do pokoju Ottli, zatrzymałeś się na progu, wetknąłeś tylko głowę, aby mnie zobaczyć w łóżku, i dla formy jedynie pozdrowiłeś ręką. W takich chwilach człowiek kładł się i płakał ze szczęścia i płacze, kiedy to pisze.

Masz również pewien szczególnie ładny, bardzo rzadko spotykany rodzaj cichego, zadowolonego, dobrotliwego uśmiechu, który może w pełni uszczęśliwić tego, dla kogo jest przeznaczony. Nie przypominam sobie, aby za mego dzieciństwa był on przeznaczony wyraźnie dla mnie, ale chyba mogło tak być; czemu miałbyś mi go wtedy odmawiać, jeśli wydawałem Ci się jeszcze niewinny i byłem Twoją wielką nadzieją? Zresztą również takie przyjemne wrażenia na dłuższą metę nie dawały nic innego jak tylko to, że moje poczucie winy się powiększało, a świat stawał się dla mnie jeszcze bardziej niezrozumiały.

Ale lepiej żebym się trzymał faktów i konkretów. Aby się na Tobie choć trochę odegrać, po części również z pewnego rodzaju zemsty, zacząłem wkrótce zapisywać śmiesznostki zauważane u Ciebie, zbierać je i przedrzeźniać. Jak na przykład osobom nieco wyżej stojącym od Ciebie, po większej części tylko z pozoru, pozwalałeś sobie schlebiać i potrafiłeś o tym wciąż opowiadać, powiedzmy o jakimś radcy cesarskim czy kimś podobnym (z drugiej strony było mi przykro, że Ty, mój Ojciec, potrzebowałeś tak nic nieznaczących potwierdzeń Twej wartości i że się tym podwyższałeś we własnych oczach). Albo zaobserwowałem Twoje zamiłowanie do nieprzyzwoitych, możliwie głośno wypowiadanych utartych powiedzeń, z których śmiałeś się, jakbyś powiedział coś szczególnie wybornego, podczas gdy było to właśnie tylko płaską, małą nieobyczajnością (jednocześnie był to znów zawstydzający mnie przejaw Twojej witalności). Takich różnych obserwacji była oczywiście

cała masa; cieszyłem się z nich, była ta dla mnie okazja do kpin i żartów, czasem spostrzegałeś to, gniewałeś się z tego powodu, uważałeś za złośliwość, brak respektu, lecz wierzaj mi, dla mnie nie było to nic innego jak tylko nieudolna zresztą próba utrzymania się na powierzchni, były to żarty, jakie robi się z bogów i z królów, które nie tylko są związane z najgłębszym respektem, ale nawet stanowią jeden z jego wyrazów.

Również i Ty próbowałeś, odpowiednio do Twojej podobnej sytuacji wobec mnie, pewnego rodzaju broni obosiecznej. Miałeś zwyczaj zwracać uwagę na to, jak nadzwyczajnie dobrze mi się wiodło i jak dobrze byłem w istocie traktowany. To się zgadza, ale nie wierzę, żeby mi się to w tamtych warunkach w istocie na coś przydało.

To prawda, że matka była dla mnie bezgranicznie dobra, lecz wszystko pozostawało dla mnie w relacji do Ciebie, a więc nie była to dobra proporcja. Matka nieświadomie spełniała rolę naganiacza w polowaniu. Kiedy Twoje wychowanie w jakimś nieprawdopodobnym przypadku przez upór, niechęć lub nawet nienawiść stawiało mnie na własnych nogach, to matka odkręcała wszystko na nowo swoją dobrocią, rozsądnymi mowami i namowami (w zamęcie dzieciństwa była wzorem rozsądku), prośbami, i na powrót byłem wpędzany w Twoje sidła, z których może zresztą byłbym się i wyłamał z korzyścią dla mnie i dla Ciebie. Albo bywało tak, że nie dochodziło do żadnego istotnego pojednania i że matka chroniła mnie przed Tobą tylko w tajemnicy, coś mi po kryjomu dawała, na coś mi pozwalała, a potem byłem wobec Ciebie na nowo płochliwą istotą, kłamcą, winowajcą świadomym swej winy, który z powodu swej nicości musiał dochodzić krętą drogą nawet do tego, co uważał za swe prawo. Oczywiście, przyzwyczaiłem się potem szukać na tych drogach tego, do czego nie

miałem prawa, nawet w moim przekonaniu. Znów zwiększało się poczucie winy.

Prawdą również jest, że rzeczywiście ani razu mnie nie uderzyłeś. Ale wrzask, Twoja czerwona twarz, pośpieszne odpinanie szelek i to, że wisiały gotowe na oparciu krzesła - było dla mnie chyba bardziej przykre. Jakby ktoś miał być powieszony. Gdyby go powieszono naprawdę, umarłby i na tym koniec. Jeżeli jednak najpierw musi przeżyć wszystkie przygotowania do egzekucji, a dopiero gdy już stryczek zwisa przed twarzą, ma dowiedzieć się o ułaskawieniu, to może się przez całe życie z tego nie uleczyć. Poza tym z wielu takich przypadków, gdy według Twej jasno wyrażonej opinii zasłużyłem na lanie, z Twej łaski nie dostałem go jednak jeszcze tym razem, zebrało się nowe wielkie poczucie winy. Ze wszech stron ciągle zaciągałem u ciebie długi.

Od dawna robiłeś mi wyrzuty (i to mnie samemu lub wobec innych, nie mając ani trochę wyczucia upokarzającej roli tego ostatniego sposobu, sprawy Twoich dzieci były zawsze jawne), że dzięki Twej pracy żyłem w cieple, spokoju i dostatku, bez wszelkich braków czy trosk. Mam na myśli uwagi, które w moim umyśle po prostu musiały wyryć głębokie bruzdy, jak na przykład: "Już w siódmym roku życia musiałem krążyć po wsi z wózkiem." "Musieliśmy wszyscy spać w jednej izbie." "Byliśmy szczęśliwi, jeśli mieliśmy kartofle." "Całymi latami z powodu niedostatecznego ubrania na zimę miałem na nogach otwarte rany." "Jako mały chłopak musiałem chodzić do Pisek do sklepu." "Zupełnie nic nie dostawałem z domu, nawet gdy byłem w wojsku, jeszcze wysyłałem pieniądze do domu." "Ale mimo to, mimo to - ojciec był dla mnie zawsze ojcem. Kto to dziś zrozumie?! Co dzieci rozumieją?! Nikt tego nie przecierpiał. Czy dziecko to dziś pojmie?" Takie opowiadania mogłyby być w innych stosunkach znakomitym środkiem

wychowawczym; mogłyby krzepić i mobilizować do znoszenia plag i niepowodzeń, podobnych do tych, które przeszedł ojciec. Ale przecież Ty nie chciałeś tego, sytuacja właśnie poprzez wynik Twego trudu stała się inna, nie było sposobności, aby się czymś zasłużyć, wyróżnić, jak to Ty uczyniłeś. Taką sposobność musiałoby się dopiero utworzyć siłą i gwałtem, trzeba by się wyłamać z domu (zakładając, że dysponowałoby się potrzebną na to siłą i zdolnością decyzji, i że matka ze swej strony nie wkroczyłaby przeciwko temu za pomocą innych środków). Ale właśnie tego wszystkiego przecież nie chciałeś, nazywałeś to niewdzięcznością, uporem! nieposłuszeństwem, zdradą i wariactwami. Podczas gdy z jednej strony przykładem, opowiadaniem i zawstydzeniem nakłaniałeś do tego, to z drugiej strony zabraniałeś w najostrzejszy sposób. W przeciwnym razie musiałbyś być na przykład, abstrahując od towarzyszących okoliczności, zachwycony zürauowską przygodą Ottli. Ottla chciała iść na wieś, skąd Ty przyszedłeś, chciała mieć pracę i obowiązki, jak miałeś je Ty, nie chciała korzystać z efektów Twego trudu, tak jak i Ty byłeś niezależny od Twego ojca. Czyż te zamiary były takie straszne? Czyż były dalekie od Twego przykładu i Twej nauki? Dobrze, plany Ottli nie udały się koniec końców, były może nieco śmieszne, rozpoczęte ze zbyt dużym hałasem, za mało brała pod uwagę swych rodziców. Czy to jednak była wyłącznie jej wina, a nie wina stosunków, a przede wszystkim tego, że tak bardzo ją odseparowałeś? Czy ona była dla Ciebie w sklepie mniej obca (jak potem usiłowałeś sam jej to wmówić), niż później w Zürau? I czy na pewno nie miałbyś siły (zakładając, że potrafiłbyś się przemóc), aby przez zachętę, radę i nadzór, a może nawet tylko dzięki tolerancji, uczynić z tej przygody coś bardzo dobrego?

Jako podsumowanie tych doświadczeń zwykłeś był mówić, dowcipkując z goryczą, że powodziło nam się zbyt dobrze. To ma być niby dowcip, ale wcale nim nie jest. To, co Ty

musiałeś dla siebie wywalczyć, my otrzymaliśmy z Twojej ręki, ale walkę o codzienne życie, walkę, do której Ty byłeś od razu gotowy i która oczywiście nam również nie została oszczędzona, tę walkę musieliśmy stoczyć dopiero później, dziecięcymi siłami w wieku dojrzałym. Nie mówię, że nasza sytuacja jest dlatego bezwarunkowo mniej korzystna, niż była Twoja, nasza jest prawdopodobnie ani lepsza, ani gorsza (przy czym podstawy są zupełnie nieporównywalne), tylko jesteśmy o tyle w gorszym położeniu, że nie możemy chełpić się swą nędzą i nikogo nie możemy nią upokorzyć, jak to Ty czyniłeś swą biedą. Nie przeczę również, że, byłoby możliwe, iż umiałbym dobrze spożytkować owoce Twojej ogromnej i efektownej pracy i że ku Twej radości potrafiłbym dalej nimi obracać, ale temu stała na zawadzie nasza obcość. Mogłem korzystać z tego, co mi dawałeś, lecz jedynie w zawstydzeniu, męce, słabości, poczuciu winy. Dlatego za wszystko mogłem być Ci wdzięczny jedynie wdzięcznością żebraka, a nie naprawdę. Następnym jawnym wynikiem tego całego wychowywania było to, że uciekałem przed wszystkim, co tylko z dala przypominało Ciebie. Najpierw sklep. Sam w sobie, szczególnie w latach dzieciństwa, dopóki był to sklepik na bocznej uliczce, musiał mnie chyba bardzo cieszyć, taki był ożywiony i wieczorami oświetlony, tyle tam się widziało i słyszało, tu i ówdzie można było coś pomóc, zasłużyć się, ale przede wszystkim podziwiało się Ciebie i Twój nadzwyczajny talent kupiecki, jak sprzedawałeś, obsługiwałeś ludzi, dowcipkowałeś, byłeś niezmordowany, w przypadku wątpliwości natychmiast znajdowałeś rozstrzygnięcie, i tak dalej; jeszcze jak pakowałeś towar lub rozwiązywałeś paczkę to też było nie lada przedstawieniem godnym obejrzenia, a wszystko razem nienajgorszą szkołą dla dzieci. Ale ponieważ stopniowo coraz bardziej napełniałeś mnie przerażeniem, a sklep i Ty zlewaliście się w jedno, sklep też przestał być dla mnie przyjemny. Rzeczy, które poprzednio były dla mnie oczywiste i zrozumiałe, zaczęły mnie męczyć i zawstydzać,

szczególnie Twoje traktowanie subiektów. Nie wiem, może tak bywało w większości sklepów (w Assecuracioni Generali, na przykład, za moich czasów było rzeczywiście podobnie, wyjaśniłem dyrektorowi moje wymówienie posady tym, niezupełnie zgodnie z prawdą, ale i nie całkiem kłamiąc, że nie potrafię znieść wymyślań, które zresztą nie dotyczyły bezpośrednio mnie; byłem na to zbyt boleśnie uczulony już z domu), ale inne sklepy nic mnie nie obchodziły w dzieciństwie. Ciebie jednak słyszałem i widziałem w sklepie krzyczącego, klnącego, wściekającego się, co znów według mej ówczesnej opinii nie zdarzało się nigdzie na świecie. I nie tylko klnącego, ale i stosującego inną tyranię. Kiedy, na przykład, towary, których nie chciałeś wymienić z innymi, jednym ruchem zwalałeś z lady - tylko bezmyślność Twojego gniewu rozgrzeszała Cię nieco - a subiekt musiał je podnosić. Albo Twoje niezmienne powiedzenie o subiekcie, który chorował na płuca: "Powinien zdechnąć, ten chory pies". Nazywałeś subiektów "płatnymi wrogami", byli nimi również, ale jeszcze zanim się nimi stali, Ty wydawałeś mi się ich "płacącym wrogiem". Otrzymałem tam również niezłą naukę, że potrafisz być niesprawiedliwy; na sobie samym nie zauważyłbym tego tak szybko, ponieważ nazbierało się przecież zbyt dużo poczucia winy, uprawniającego Cię do niesprawiedliwości wobec mnie; ale byli tam, według mego dziecięcego rozumienia - później naturalnie nieco skorygowanego, ale w nieznacznym stopniu - obcy ludzie, którzy przecież dla nas pracowali i za to musieli żyć w ciągłym strachu przed Tobą. Naturalnie, że tu przejaskrawiłem całą sprawę, a to mianowicie dlatego, że bez dalszych dowodów przyjąłem, iż działałeś na ludzi tak samo strasznie jak na mnie. Jeśliby tak było, to naprawdę nie mogliby żyć, ale ponieważ jednak byli to ludzie dorośli, o wspaniałych nerwach, bez trudu strząsali z siebie to wyklinanie i w sumie szkodziło to bardziej Tobie niż im. Jednakże czyniło to dla mnie sklep miejscem nie do zniesienia, zbytnio mi przypominającym o moim stosunku

wobec Ciebie: abstrahując zupełnie od spraw przedsiębiorcy, nie biorąc pod uwagę żądzy panowania, już jako człowiek interesu byłeś tak bardzo przekonany o wszystkich, którzy się wtedy u Ciebie uczyli, że żadna z ich usług nie może Cię zadowolić, że podobnie wiecznie niezadowolony musiałeś być również ze mnie. Dlatego z konieczności brałem stronę personelu sklepowego, zresztą również dlatego, że już przez samą tylko lękliwość nie potrafiłem pojąć, jak obcego można tak zwymyślać, i dlatego z lękliwością chciałem według mnie ogromnie poirytowanych subiektów jakoś pojednać z Tobą, z naszą rodziną - także gwoli mojego własnego bezpieczeństwa. Do tego już nie wystarczało zwykłe porządne zachowywanie się wobec personelu, a tym bardziej powściągliwe obejście, o nie, musiałem być upokorzony, nie tylko pozdrawiać pierwszy, ale gdzie to tylko było możliwe, jeszcze wzbraniać się przed oddawanym pozdrowieniem. I nawet choćbym ja, nic nieznacząca osoba, słał się im pod stopy, to wciąż jeszcze istniałaby dysproporcja w porównaniu z tym, jak Ty, pan i władca, im nadokuczałeś. Ten stosunek, który się ukształtował pomiędzy mną i współbliźnimi, oddziaływał dolej w przyszłości i poza sklepem (podobne, ale nie tak niebezpieczne i głęboko sięgające jak u mnie, jest na przykład zamiłowanie Ottli do kontaktów z ubogimi ludźmi, to jej przesiadywanie z posługaczkami, które Cię tak denerwowało, i tym podobne.) W końcu niemal bałem się sklepu, a w każdym razie był on już od dawna nie moją sprawą, jeszcze zanim poszedłem do gimnazjum i przez to bardziej oddaliłem się od niego. Wydawał mi się on również ponad moje siły, jako że, jak mawiałeś, zżerał on nawet rodzinę. Następnie (co jeszcze dzisiaj porusza mnie i zawstydza) z bardzo przecież dla Ciebie bolesnego mojego wstrętu do sklepu, do Twego dzieła, chciałeś wyciągnąć dla siebie jeszcze nieco pociechy, twierdząc, że brakuje mi zmysłu kupieckiego, że głowę mam nabitą wyższymi ideami i temu podobnymi rzeczami. Matka oczywiście cieszyła się z

takich wyjaśnień, które na sobie samym wymuszałeś, i również ja w swej próżności i nędzy dałem się temu opanować. Gdyby to jednak były naprawdę tylko lub przede wszystkim "wyższe idee", odciągające mnie od sklepu (którego teraz, ale to dopiero teraz, szczerze i naprawdę nienawidzę), też musiałyby się objawić inaczej niż w ten sposób, że spokojnie i lękliwie przepłynąłem przez gimnazjum i studia prawa, aż w końcu wylądowałem za biurkiem urzędniczym.

Gdybym chciał przed Tobą uciec, to musiałbym uciec przed rodziną, nawet przed matką. Wprawdzie można było u niej zawsze znaleźć schronienie, ale jednakże tylko w związku z Tobą. Zbyt Cię kochała i za bardzo była Ci oddana, żeby w walce dziecka mogła stanowić samodzielną siłę duchową. Zresztą był to niezawodny instynkt dziecka, ponieważ z latami matka coraz ściślej była z Tobą związana; podczas gdy w tym, co jej samej dotyczyło, zawsze broniła swej samodzielności w sposób elegancki i delikatny, nigdy przy tym zbytnio Ciebie nie urażając, to jednocześnie z biegiem lat coraz bardziej, raczej sercem niż rozumem, przejmowała Twoje sądy i wyroki względem dzieci, zwłaszcza w trudnym skądinąd przypadku Ottli. Niewątpliwie należy wciąż pamiętać, jak bardzo męczące i krańcowo konfliktowe było matczyne stanowisko w rodzinie. Tyrała w sklepie, w gospodarstwie, podwójnie cierpiała z powodu wszelkich chorób rodziny, ale ukoronowaniem wszystkiego było to, co wycierpiała zajmując polubowne stanowisko między Tobą a nami. Byłeś dla niej zawsze kochający i uważający, ale w tym względzie równie mało ją oszczędzałeś, jak my ją oszczędzaliśmy. Bez oglądania się na cokolwiek, uderzaliśmy w nią, Ty ze swojej strony, a my ze swojej. Było to parowanie ciosu, nie myślało się przecież nic złego, myślało się tylko o walce, którą Ty toczyłeś z nami, a my z Tobą, i odgrywaliśmy się na matce. Nie był to również dobry przykład wychowywania dzieci, gdy Ty - naturalnie bez jakiejkolwiek

Twojej winy - zadręczałeś ją z naszego powodu. Uzasadniało to nawet pozornie nasze, nie do usprawiedliwienia zresztą, zachowanie wobec niej. Ile ona wycierpiała od nas z Twego powodu, a od Ciebie z naszego powodu, całkiem nie licząc tych przypadków, gdy miałeś rację, ponieważ matka nas wypaczała, nawet jeśli samo "wypaczanie" mogło być niekiedy tylko cichą, nieświadomą demonstracją przeciw Twemu systemowi. Naturalnie matka nie mogłaby znieść tego, gdyby nie czerpała siły do znoszenia wszystkiego z miłości do nas i ze szczęścia tej miłości.

Siostry tylko po części miałem za sobą. Valli była z nich wszystkich w najszczęśliwszej sytuacji wobec Ciebie. Znajdując się najbliżej matki, bez zbytniego trudu i szkody dla siebie przyłączyła się tak samo do Ciebie. Traktowałeś ją jednak bardziej po przyjacielsku w porównaniu z matką, mimo iż niewiele było w niej kafkowskiego tworzywa. Ale może akurat to było dla Ciebie dobre; tam, gdzie nie było nic kafkowskiego, sam nie mogłeś nic podobnego wymagać; nie miałeś również uczucia, jak wobec nas reszty, że tu coś zostało zmarnotrawione, coś, co trzeba by na gwałt ratować.

Zresztą, tego, co kafkowskie, a co ujawniało się w kobietach, nigdy szczególnie nie lubiłeś. Stosunek Valli do Ciebie byłby może jeszcze milszy, gdybyśmy wszyscy trochę temu nie przeszkadzali. Elli jest jedynym przykładem prawie całkowitego udanego wyłamania się z Twego kręgu. Najmniej bym tego w dzieciństwie po niej się spodziewał. Była przecież tak ociężałym, znużonym, bojaźliwym, skwaszonym, poczuwającym się do winy, niezmiernie pokornym, złośliwym, gnuśnym, łakomym, skąpym dzieckiem, że ledwie mogłem na nią patrzeć, a rozmawiać - ani trochę, tak bardzo przypominała mi mnie samego, w tak bardzo podobny sposób była pod tą samą klątwą Twego wychowania. Szczególnie wstrętne było dla mnie jej

skąpstwo, ponieważ ja miałem je w jeszcze większym stopniu. Skąpstwo jest przecież jedną z najbardziej pewnych oznak głębokiego nieszczęścia; tak bardzo byłem niepewny wszystkich rzeczy, że faktycznie posiadałem tylko to, co miałem już w rękach lub trzymałem w ustach albo gdy co najmniej było to w drodze ku nim, i to właśnie najchętniej ona mi zabierała, ona, która była w tak podobnej sytuacji. Ale wszystko się zmieniło, gdy w młodych latach, i to jest najważniejsze, opuściła dom, wyszła za mąż, urodziła dzieci, wtedy stała się miła, niezatroskana, odważna, hojna, bezinteresowna, pełna nadziei. Niemal nie do wiary jest to, że Ty prawie nie zauważyłeś tej zmiany, a w każdym razie nie oceniłeś jej według zasług, tak zaślepiła Cię uraza, którą miałeś w stosunku do Elli od dawna, w istocie masz i teraz, z tym że ta uraza teraz jest o wiele mniej żywa, bo Elli nie mieszka już z nami, no i poza tym Twoja miłość do Feliksa i sympatia dla Karola sprawiły, że uraza stała się mniej ważna. Tylko Gerti czasem musi jeszcze za nią pokutować. Prawie nie odważam się pisać o Ottli; wiem, że w ten sposób całą spodziewaną wymowę listu narażam na szwank. W zwykłych warunkach, a więc gdy nie znajduje się w szczególnej nędzy lub niebezpieczeństwie, masz dla niej tylko nienawiść; sam mi przecież wyznałeś, że, Twoim zdaniem, ona celowo robi Ci wciąż przykrości i zadaje ból i gdy Ty cierpisz z jej powodu, ona jest zadowolona z tego i się cieszy. A więc to jakiś rodzaj diabła. Cóż za niesamowita obcość, jeszcze większa niż między Tobą a mną, istnieć musi między, nią i Tobą, skoro stała się możliwa tak potworna pomyłka. Ona jest od Ciebie tak daleko, że jej prawie już nie widzisz, lecz sadzasz upiora na miejscu, gdzie przypuszczasz, że ona jest. Dodam, że zwłaszcza z nią nie było Ci łatwo. Nie całkiem rozumiem ten bardzo skomplikowany przypadek, w każdym razie było tu coś z Löwy'ego, wyposażonego w najlepszy kafkowski oręż. Miedzy Tobą i mną nie doszło do właściwej walki, szybko się ze mną rozprawiłeś; co mi pozostało, to ucieczka,

zgorzknienie, smutek, wewnętrzna walka. Wy oboje jednak byliście wciąż w pozycji bojowej, wciąż świeży, pełni sił. Widok o ile wspaniały, o tyle przygnębiający. Przede wszystkim jednak byliście sobie niewątpliwie bardzo bliscy, bo jeszcze dzisiaj z nas czworga Ottla chyba jest najczystszym wyobrażeniem związku Twojego i matki i sił, które się tu połączyły. Nie wiem, co was pozbawiło szczęścia zgody między ojcem i dzieckiem, pozostaje mi prawie uwierzyć, że rozwój był podobny jak u mnie. Po jednej stronie tyrania Twej osobowości, a po drugiej - jej löwy'owski upór, wrażliwość, poczucie sprawiedliwości, niepokój i to wszystko wsparte świadomością Kafkowskiej siły. Chyba i ja również na nią wpływałem, ale nie z własnej inicjatywy, lecz przez prosty fakt swej obecności. Weszła zresztą jako ostatnia w istniejące już układy sił i swój sąd mogła sama kształtować na podstawie gotowego materiału. Myślę nawet, że w głębi duszy wahała się przez pewien czas, czy powinna się rzucić na szyję Tobie, czy przeciwnikom, widocznie coś wtedy przegapiłeś i odepchnąłeś ją, stanowilibyście bowiem, gdyby to było możliwe, wspaniałą zgodną parę. Straciłbym wtedy co prawda sprzymierzeńca, ale widok Was obojga wynagrodziłby mnie sowicie, również bardzo byłbyś się zmienił na moją korzyść przez to nieuchwytne szczęście, że przynajmniej w jednym dziecku znalazłeś pełną satysfakcję. Tak czy inaczej, dzisiaj wszystko jest tylko snem. Ottla nie ma żadnych więzów z Ojcem, sama musi szukać swej drogi, jak ja, z tym, że w porównaniu ze mną, jest bogatsza o nadzieję, zaufanie do siebie, zdrowie, brak skrupułów, i dlatego jest w Twoich oczach bardziej złośliwa i bardziej zdradliwa niż ja. Rozumiem to; z Twego punktu widzenia, nie może być inna. Tak, ona sama potrafi, patrząc na siebie Twoimi oczyma, współczuć Twemu cierpieniu i może być z tego powodu - nie zrozpaczona, rozpacz to moja domena - ale bardzo smutna. Widujesz nas wprawdzie, i to pozornie jest sprzeczne, często razem, jak szepczemy, śmiejemy się, niekiedy słyszysz, że mówimy o Tobie. Masz wrażenie, że

otaczają Cię bezczelni spiskowcy. Osobliwi to spiskowcy. Jesteś wprawdzie od dawna głównym tematem naszych rozmów jak i naszych myśli, ale po prawdzie to nie przesiadujemy razem, aby coś wymyślić przeciwko Tobie, lecz aby z największym napięciem, dowcipnie, poważnie, z miłością, uporem, gniewem, niechęcią, oddaniem, poczuciem winy, z całych sił umysłu i serca wspólnie rozważać ten straszliwy proces toczący się między Tobą a nami, we wszystkich szczegółach, ze wszech stron, we wszystkich okolicznościach, ten proces, w którym Ty wciąż utrzymujesz pozycję sędziego, podczas gdy po większej części (tu jest pole dla wszystkich pomyłek, które oczywiście mogę popełnić) stanowisz równie słabą i zaślepioną stronę jak my.

Pouczającym przykładem, w nawiązaniu do całości Twego wychowawczego wpływu, jest Irma. Z jednej strony była przecież obca, jako dorosła przybyła do Twego sklepu, miała do czynienia z Tobą przede wszystkim jako szefem, była zatem tylko po części podległa Twemu wpływowi, i to w wieku, w którym jest się zdolnym do oporu; z drugiej strony była jednak również krewną, szanowała w Tobie brata swego ojca, a Ty miałeś nad nią władzę o wiele większą niż zwykła władza szefa. A mimo to ona, taka drobniutka, a przy tym porządna, mądra, pilna, skromna, godna zaufania, która była wierna i kochała Ciebie jako stryja, a podziwiała jako szefa, która wcześniej i później na innych stanowiskach dowiodła swych kwalifikacji, ona nie była według Ciebie bardzo dobrą pracownicą. Z konieczności, oczywiście również skłaniana przez nas, zajmowała wobec Ciebie stanowisko bliskie stanowisku dzieci, a jeszcze tak silnie przytłaczająca była potęga Twej osoby, że rozwinęło się u niej (wprawdzie tylko wobec Ciebie i, miejmy nadzieję, bez głębszych cierpień jak u dziecka) zapominanie, zaniedbywanie, wisielczy humor, może nawet trochę uporu, na ile była na to podatna, przy czym nie uwzględniam, że

była chorowita, poza tym nie była zbyt szczęśliwa i ciążyła na niej beznadziejna sytuacja rodzinna. Dla mnie kwintesencję Twojego stosunku do niej streściłeś w zdaniu, uznanym przez nas za klasyczne, niemal bluźnierczym, lecz właśnie bardzo charakterystycznym dla Twego braku skrupułów w traktowaniu ludzi: "Łaska boska obarczyła mnie tą całą świniarnią."

Mógłbym opisywać jeszcze dalsze kręgi Twego wpływu i walki przeciwko niemu, ale tu wkroczyłbym na niepewny teren i musiałbym dokomponowywać, a poza tym przecież, im bardziej oddalasz się od sklepu i rodziny, tym stajesz się milszy, ustępliwszy, uprzejmiejszy, bardziej uważający, sympatyczniejszy (mam tu na myśli: również zewnętrznie), tak właśnie jak na przykład samowładca, który gdy jest poza granicami swego kraju, nie ma powodu wciąż być tyranem i umie łaskawie obcować z ludźmi najniższego stanu. W rzeczy samej, pomiędzy małymi, ponurawymi ludźmi na grupowych zdjęciach z Franciszkowych Łaźni stałeś zawsze taki wysoki i zadowolony, jak jakiś król w podróży. Dzieci mogłyby również wynieść z tego swoje korzyści, tylko musiałyby umieć rozpoznać to w dziecięcych latach, co było niemożliwe, a ja dla przykładu wolałbym nie zamieszkiwać wciąż w najwewnętrzniejszym niejako, najciaśniejszym, najbardziej zamkniętym kręgu Twego wpływu, jak to przecież po prawdzie robiłem.

Nie utraciłem przez to zmysłu rodzinnego, jak go nazywasz; przeciwnie, raczej go zachowałem, wprawdzie przede wszystkim negatywy (naturalnie nigdy nie zrealizowany), dążący do wewnętrznego odłączenia się od Ciebie. Kontakty z ludźmi poza rodziną cierpiały jednak przez Twój wpływ może jeszcze bardziej. Z tego względu mylisz się zupełnie, jeśli sądzisz, że dla innych ludzi zrobiłbym wszystko z miłości i wierności, dla Ciebie i dla rodziny nic z powodu oziębłości i zdrady. Po raz dziesiąty powtarzam: byłbym

prawdopodobnie i tak lękającym się ludzi, strachliwym człowiekiem, ale od tego wiedzie jeszcze długa, kręta, mroczna droga do miejsca, gdzie naprawdę się znalazłem. (Dotąd w tym liście celowo względnie niewiele przemilczałem, teraz i później będę musiał jednak co nieco zataić, co zbyt trudno mi jeszcze wyznać - Tobie i sobie. Mówię to dlatego, żebyś nie sądził, gdyby ogólny obraz miał być gdzieniegdzie trochę niewyraźny, że winien jest temu brak dowodów, są to raczej takie dowody, które ten obraz mogłyby uczynić nie do zniesienia jaskrawym. Niełatwo w tym znaleźć umiar.) Wystarczy zresztą przypomnieć wcześniejsze fakty: straciłem zaufanie do siebie, zastępując je bezgranicznym poczuciem winy. (Wspominając tę bezgraniczność kiedyś słusznie napisałem o kimś: "On się boi, że jeszcze go przeżyje".) Nie umiałem się nagle przemienić, gdy spotykałem się z innymi ludźmi, wobec nich wpadałem chyba w jeszcze głębsze poczucie winy, ponieważ musiałem, jak już powiedziałem, zadośćuczynić im za to, co Ty, przy mojej współodpowiedzialności, zawiniłeś wobec nich w sklepie. Nadto przecież każdemu, z kim się spotykałem, miałeś coś do zarzucenia jawnie lub potajemnie, za to również musiałem ich przeprosić. Nieufność wobec większości ludzi, którą usiłowałeś mi wpoić w sklepie i w rodzinie (wymień mi chociaż jednego człowieka cokolwiek znaczącego dla mnie w czasach dziecinnych, którego byś co najmniej raz nie skrytykował), ta nieufność, która Tobie, co ciekawsze, wcale zbytnio nie utrudniała życia (byłeś wystarczająco silny, aby to znieść, a ponadto był to chyba w rzeczywistości symbol władcy) - ta nieufność, której jako chłopak nigdzie nie stwierdziłem na własne oczy, ponieważ widziałem wszędzie tylko niedościgle doskonałych ludzi, zmieniła się we mnie w nieufność do siebie samego i w ciągły strach przed wszystkimi. W kręgu obcych z pewnością nie mogłem się uratować przed Tobą. Że się co do tego myliłeś, to chyba dlatego, że przecież nic nie wiedziałeś o moich kontaktach z ludźmi, przypuszczałeś nieufnie i

zazdrośnie (czy kłamię, mówiąc, że mnie lubisz ?), że muszę sobie wynagradzać jakoś gdzie indziej straty ponoszone w życiu rodzinnym, bo byłoby niemożliwością, abym tak samo żył poza rodziną. Zresztą właśnie w tej mierze w moich latach dziecinnych znajdowałem jeszcze pewną pociechę, szczególnie w nieufności do mojego osądu mówiłem sobie: "Przecież przesadzasz, traktujesz drobnostki, jak to czyni zawsze młodość, jako zbyt ważne wydarzenia." Później jednak prawie straciłem tę pociechę, gdy wzrastała moja znajomość Świata. Ratując się przed Tobą równie mało oparcia znalazłem w żydostwie. Można by przecież wyobrazić sobie, że tu znalazłby się ratunek, ba, co więcej, można by przyjąć, że w żydostwie znaleźlibyśmy go obaj albo że obaj jednomyślnie wystąpilibyśmy z niego. Ale co to było za żydostwo, które otrzymałem od Ciebie! W ciągu lat nastawiałem się chyba na trzy jego rodzaje. Jako dziecko czyniłem sobie wyrzuty, tak jak i TY, ponieważ nie dość pilnie chodziłem do templu, nie pościłem i tak dalej. Wierzyłem, że w ten sposób robię krzywdę nie sobie, lecz Tobie, a świadomość winy, ta przecież była zawsze na podorędziu, przenikała mnie.

Później, jako młody mężczyzna, nie rozumiałem, jak Ty z tym nic żydostwa, którym dysponowałeś, mogłeś mi robić wyrzuty, że nie starałem się (już choćby z pobożności, jak mawiałeś), kultywować podobnego nic.

Było to rzeczywiście, jak daleko sięgam pamięcią, jedno wielkie nic, kpina, a nawet jeszcze mniej. Cztery dni w roku chodziłeś do templu, byłeś tam bliższy obojętnym niż tym, którzy brali to poważnie, cierpliwie załatwiałeś modlitwy niczym formalności, wprawiałeś mnie nieraz w osłupienie tym, że mi potrafiłeś w modlitewniku wskazać akurat recytowany werset, a w ogóle mogłem się wszędzie pętać, kiedy tylko (i to jest zasadnicza sprawa) byłem w templu. Przedrzemałem więc i przeziewałem tam wiele godzin

(sądzę, że później nudziłem się tak jeszcze tylko na lekcjach tańca) i usiłowałem pocieszać się, jak tylko można, kilkoma drobnymi urozmaiceniami, które tam występowały, gdy, powiedzmy, otwierano Arkę przymierza, co zawsze mi przywodziło na myśl strzelnicę, gdzie również, gdy się trafiło w czarne, otwierały się drzwiczki skrzyneczki, tyle że tam wyłaziło jednak zawsze coś interesującego, a tu zawsze wciąż i wciąż stare bezgłowe kukły. Przeżyłem tam ponadto wiele chwil lęku, nie tylko, co było zrozumiałe, z powodu wielu ludzi, z którymi dochodziło do bliższych kontaktów, lecz również dlatego, że Ty niby przypadkowo napomykałeś, iż ja również mam być powołany do czytania Tory. Całymi latami drżałem z lęku przed tym. Prócz tego właściwie nic nie zakłócało mi mojej nudy, co najwyżej Bar micwa, przy którym wymagano jednak tylko śmiesznego wykucia na pamięć, a więc prowadziło to tylko do śmiesznego egzaminu, a potem to, co dotyczy Ciebie, drobne, nic nieznaczące przypadki, jak ten, powiedzmy, gdy byłeś powoływany do odczytania Tory i dobrze znosiłeś to wydarzenie, w moim odczuciu wyłącznie towarzyskie, bądź gdy w Święto Zmarłych zostawałeś w templu, a mnie odsyłałeś, co we mnie przez długi czas, wyraźnie z powodu odsyłania i braku jakiegoś głębszego zainteresowania, wywoływało ledwo uświadamiane uczucie, że chodziło tu o coś nieprzyzwoitego. - Tak bywało w templu, w domu było, jeśli to możliwe, jeszcze mizerniej i ograniczało się do pierwszego wieczoru sederu, który zawsze bardziej był podobny do komedii z paroksyzmami śmiechu, co prawda pod wpływem dorastających dzieci. (Dlaczego musiałeś się przyłączać do niego? Bo go wywołałeś.) To był więc przekazany mi materiał wiary, do tego dochodziła najwyżej jeszcze wyciągnięta ręka, wskazująca "synów milionera Puchsa", którzy bywali wraz z ojcem w templu z okazji uroczystych świąt. Nie rozumiałem, jak z tym materiałem można było zrobić coś lepszego niż pozbyć się go

najszybciej jak tylko się da; właśnie pozbycie się go wydawało mi się działaniem najpobożniejszym.

Jeszcze później ujrzałem tę sprawę jednak znów inaczej i pojąłem, czemu wolałeś sądzić, że również w tej mierze zdradzam Cię złośliwie. Z małej gminy wiejskiej, podobnej do getta, jeszcze coś naprawdę wyniosłeś z żydostwa, nie było tego wiele, a w dodatku pogubiło się w mieście i w wojsku, niemniej, wrażenia i wspomnienia z młodości wystarczały Ci od biedy do pewnego rodzaju żydowskiego życia, zwłaszcza dlatego że nie potrzebowałeś przecież zbyt dużo pomocy, bo byłeś z bardzo mocnego rdzenia i Twojej osoby niemal nie mogły poruszyć skrupuły religijne, o ile nie łączyły się one ze skrupułami towarzyskimi. W zasadzie Twoja wiara wiodąca Cię przez życie opierała się na tym, że wierzyłeś w bezwarunkową poprawność sądów pewnej określonej klasy społeczeństwa żydowskiego, a więc właściwie, ponieważ te opinie przynależały do Twej istoty, wierzyłeś sobie samemu. W tym też było jeszcze trochę żydostwa, ale za mało jednak, aby przekazać je dalej dziecku, kropla po kropli zupełnie nikło, gdy przekazywałeś je dalej. Po części były to nie do przekazania wrażenia z lat młodości, po części zaś Twoja zatrważająca istota. Było również niemożliwe, aby dziecku, z powodu swej strachliwości niezmiernie bacznie wszystko obserwującemu, dać do zrozumienia, że te kilka błahostek, które przytaczałeś w majestacie żydostwa, z obojętnością odpowiadającą ich błahości, mogło mieć jakiś wyższy sens. Dla Ciebie miały one sens jako drobne wspomnienia wcześniejszych lat i z tej przyczyny chciałeś mi je przekazać, i mogłeś to uczynić, jednakże tylko perswazją lub pogróżką, gdyż same nie miały już dla Ciebie żadnego znaczenia; z jednej strony nie mogło się to udać, a z drugiej musiało w Tobie - ponieważ zupełnie nie widziałeś tu swojej słabej pozycji - budzić gniew z powodu mojej pozornej zatwardziałości. Wszystko to nie jest przecież ani trochę odosobnionym zjawiskiem, podobnie

rzecz się miała wśród dużej części tej żydowskiej generacji przejściowej, która ze względnie jeszcze religijnej wsi wywędrowała do miast; to powstawało samo z siebie, tylko że właśnie do naszego związku, w którym nie brakło zadrażnień, dodawało jeszcze bolesności. W zamian za to zdajesz się w tym punkcie, tak samo jak i ja, wierzyć w Twą niewinność, tę niewinność objaśniasz jednak Twą naturą i duchem czasu, a nie tylko zewnętrznymi okolicznościami, a więc nie mówisz, dajmy na to, że miałeś za dużo innej pracy i kłopotów, ażebyś również mógł się zajmować jeszcze takimi rzeczami.. W ten sposób masz zwyczaj Twą niewątpliwą niewinność obracać w niesprawiedliwy zarzut wobec innych. A wszędzie, również i tu, bardzo łatwo to obalić. Nie chodziło tu przecież o jakąś naukę, którą powinieneś był dać Twoim dzieciom, lecz o przykładne życie; gdyby Twe żydostwo było mocniejsze, to Twój przykład też byłby bardziej przekonywający, to oczywiście znów nie jest żaden zarzut, lecz tylko obrona przed Twoimi wymówkami. Ostatnio przeczytałeś wspomnienia Franklina z lat młodości. Rzeczywiście, nie bez kozery podrzuciłem Ci tę książkę do czytania, ale, jak to ironicznie zauważyłeś, nie ze względu na małą wzmianeczkę o wegetarianizmie, lecz z powodu stosunku między autorem i jego ojcem, jak to jest tam opisane, oraz ze względu na stosunki między autorem i jego synem, jak to się samo ujawnia we wspomnieniach pisanych dla syna. Nie chcę tutaj zwracać uwagi na drobiazgi.

Pewne dodatkowe potwierdzenie tego ujęcia. Twego żydostwa otrzymałem również w Twym postępowaniu w ostatnich latach, gdy wydawało Ci się, że więcej zajmuję się sprawami żydowskimi. Ponieważ od samego początku czujesz niechęć do każdego mego zajęcia, a zwłaszcza wszelkich moich zainteresowań, to również i tu ją miałeś. A można by się było wszakże spodziewać, że tym razem zrobisz mały wyjątek. Było to przecież żydostwo z Twego żydostwa, które tu kiełkowało, a przez to również możność

nawiązania nowych stosunków między nami. Nie przeczę, że sprawy, którym okazałeś swe zainteresowanie, mogły stać się dla mnie właśnie przez to podejrzane.. Nie zamierzam twierdzić, że w tym względzie jestem w jakiś sposób lepszy od Ciebie. Ale przecież nie doszło do próby w tej mierze. Przeze mnie żydostwo stało się dla Ciebie wstrętne, pisma żydowskie nie do czytania, budziły w Tobie "odrazę". Mogło to oznaczać, że stałeś na stanowisku, iż właśnie tylko żydostwo, jakie mi ukazałeś w dzieciństwie, mogło być tym jedynym właściwym, poza tym nic więcej. Było jednak nie do pomyślenia, że miałbyś na tym poprzestać. "Odraza" mogła znaczyć zatem tyle (abstrahując od tego, że przede wszystkim kierowała się nie przeciw żydostwu, lecz przeciw mojej osobie), że podświadomie uznałeś słabość Twego żydostwa i mego żydowskiego Wychowania, a nie chciałeś żadną miarą przypomnieć sobie o tym i odpowiadałeś na wszelkie próby przypomnienia jawną nienawiścią. Zresztą Twój negatywny wielki szacunek dla mego nowego żydostwa był grubo przesadzony; po pierwsze miało ono na sobie Twoją klątwę, a po drugie dla jego rozwoju rozstrzygającym był zasadniczy stosunek do bliźnich, a więc w moim przypadku zabójczy.

Znacznie celniej trafiałeś swoją niechęcią w moje pisarstwo, i to wszystko, co nieświadomie dla Ciebie jest z nim związane. Tutaj rzeczywiście odszedłem od Ciebie samodzielnie kawałek drogi, choć przywodzi to na myśl dżdżownicę, która, przydepnięta za ogon, odrywa się przednią częścią i wlecze na bok. Byłem bezpieczny poniekąd, to był oddech, ta niechęć, którą czułeś naturalnie również wobec mego pisarstwa, była przeze mnie wyjątkowo chętnie widziana. Moja duma, moja próżność cierpiały wprawdzie wobec sławnego dla nas powitania moich książek: "Połóż to na nocnym stoliczku!" (najczęściej grywałeś w karty, gdy książka nadchodziła), ale tak naprawdę było mi z tym; dobrze, nie tylko przez złośliwość,

nie tylko z radości z nowego potwierdzenia mojego ujęcia naszego stosunku, lecz całkiem niespodziewanie dlatego, że ta formuła brzmiała dla mnie jak nie przymierzając: "Teraz jesteś wolny!" Rzecz jasna, że było to oszukiwanie samego siebie, nie byłem wolny lub, w najlepszym przypadku, jeszcze nie byłem wolny. Moje pisanie dotyczyło Ciebie, żaliłem się w nim przecież tylko, bo nie mogłem się wyżalić na Twojej piersi. Było to zamierzone pożegnanie z Tobą, rozciągnięte na długo, tyle że Ty je wymusiłeś, ale przebiegało w kierunku, który ja określiłem. Ale jakże to wszystko było mało! W ogóle dlatego tylko warto o tym mówić, że to wydarzyło się w mym życiu, inaczej byłoby niezauważone, i nadto dlatego jeszcze, że to zawładnęło moim życiem, w dzieciństwie jako przeczucie, później jako nadzieja, jeszcze później często jako rozpacz, i - że tak powiem, znów w Twej postaci - podyktowało mi te kilka skromnych rozstrzygnięć.

Wybór zawodu na przykład. Ba, w tym dałeś mi pełną swobodę na swój wielkoduszny i wyrozumiały sposób. Niemniej ulegałeś przy tym tak samo miarodajnemu dla Ciebie powszechnemu traktowaniu synów żydowskiej warstwy średniej lub co najmniej ulegałeś kryteriom wartości tej warstwy.

W końcu współdziałały tu również nieporozumienia co do mej osoby. Uważasz mnie mianowicie od dawna za szczególnie pilnego, przez ojcowską pychę, przez nieznajomość mego właściwego ja, przez wzgląd na mą słabowitość. Jak utrzymywałeś, miałem jako dziecko wciąż się uczyć, a później wciąż pisać. To jest jak najdalsze od prawdy. Można by raczej bez zbytniej przesady powiedzieć, że niewiele się uczyłem, a niczego się nie nauczyłem; że coś niecoś pozostało po wielu latach przy niezbyt chłonnej pamięci, przy nienajgorszych zdolnościach, to nic osobliwego, ale bądź co bądź ogólny stan zdobytej wiedzy, a

szczególnie ugruntowanie tej wiedzy jest nad wyraz żałosne w stosunku do nakładu czasu i pieniędzy w trakcie takiego pozornie beztroskiego, spokojnego życia, szczególnie zaś w porównaniu z wszystkimi prawie ludźmi, których znam. To żałosne, ale dla mnie zrozumiałe. Od kiedy potrafię myśleć, miewałem tak bardzo poważne kłopoty związane z zachowaniem życia duchowego, że wszystko inne było mi obojętne. Nasi żydowscy gimnazjaliści są nieco osobliwi, można wśród nich doszukać się typów najbardziej nieprawdopodobnych, lecz mojej chłodnej, prawie nieskrywanej, niezniszczalnej, dziecinnie bezsilnej, graniczącej ze śmiesznością, zwierzęco zadowolonej z siebie obojętności dziecka chodzącego własnymi drogami, o zimnej wyobraźni nigdzie dotąd nie spotkałem, niemniej i tu obojętność była również jedyną moją ochroną przed rozstrojem nerwowym, przed strachem i poczuciem winy. Pochłaniała mnie tylko troska o siebie, i to przejawiająca się w najprzeróżniejszych formach. Na przykład jako troska o swoje zdrowie: zaczyna się pomalutku, tu i ówdzie niewielkie obawy z powodu trawienia, wypadania włosów, skrzywienia kręgosłupa, i tak dalej, wzmagało się to we mnie w niezliczonych stopniach i kończyło w rezultacie prawdziwą chorobą. Ale ponieważ nie byłem pewien ani jednej rzeczy, potrzebowałem od każdego momentu nowego potwierdzenia mego istnienia, niczego nie miałem na własność, w mym właściwym, niebudzącym wątpliwości, jedynym, wyłącznie przeze mnie jednoznacznie określonym rozumieniu własności, jako że byłem prawdziwym wydziedziczonym synem; oczywiście również to, co najbliższe, własne ciało stało się dla mnie niepewne; rosłem wzwyż, nie wiedziałem, co z tym począć, ciężar był zbyt duży, grzbiet wykrzywił się; ledwie odważyłem się poruszać lub ćwiczyć, pozostałem słaby; wszystkiemu, czym jeszcze rozporządzałem, dziwiłem się jak jakiemuś cudowi, na przykład, memu dobremu trawieniu, i to już wystarczało, aby je zepsuć, a stąd była już niedaleka droga do zupełnej

hipochondrii, aż potem, wśród nadludzkich zmagań i wysiłków przed próbą małżeństwa (o tym będę jeszcze pisał), rzuciła mi się krew z płuc, w czym mieszkanie w Schönbornpalais - które wynająłem tylko dlatego, że sądziłem, iż będę go potrzebował do pisania tego, co jest na tej kartce - ma być może swój spory udział. A więc to wszystko nie pochodziło z nadmiernej pracy, jak sobie zawsze wyobrażasz. Bywały lata, w których będąc zupełnie zdrów, więcej czasu zmarnowałem na kanapie niż Ty w całym swym życiu, wliczając w to wszystkie choroby. Gdy będąc ogromnie zajęty uciekałem od Ciebie, to przeważnie po to, aby się położyć w swoim pokoju. Moja ogólna pracowitość, tak w biurze (gdzie wszakże lenistwo nie bardzo rzuca się w oczy i oprócz tego było trzymane w ryzach przez moją lękliwość), jak i w domu, jest śmiesznie skromna; gdybyś się w tym orientował, tobyś się przeraził. Prawdopodobnie z natury nie jestem wcale leniwy, ale nie było dla mnie nic do roboty: Tam, gdzie żyłem, byłem odtrącony, odsądzony od czci i wiary, pobity, a ucieczka gdzie indziej wprawdzie nad wyraz mnie wyczerpywała, ale to nie była praca, bo chodziło tu o coś niemożliwego, co z małymi wyjątkami było dla moich sił nieosiągalne.

No i w tym stanie rzeczy otrzymałem wolność wyboru zawodu. Czyż w ogóle byłem jeszcze zdolny do właściwego zużytkowania takiej wolności? Czyż dowierzałem jeszcze sobie, że będę umiał zdobyć prawdziwy zawód? Moja samoocena była o wiele bardziej zależna od Ciebie niż od czegokolwiek innego, powiedzmy, od jakiegoś widocznego sukcesu. Ten był tylko przelotnym wzmocnieniem, ale po drugiej stronie zawsze przeważał Twój ciężar. Nigdy nie przebrnę przez pierwszą klasę, myślałem, ale udało się, nawet dostałem nagrodę; ale na pewno nie zdam egzaminu wstępnego do gimnazjum, ale udało się; ale teraz bez wątpienia przepadnę w pierwszej gimnazjalnej; nie, nie przepadłem, i wciąż dalej udawało się. Wcale nie wynikała z

tego otucha, wręcz przeciwnie, wciąż byłem przekonany - a w Twej nieprzeniknionej minie miałem wyraźny na to dowód - że im bardziej udaje mi się teraz, tym gorzej skończy się to później. W duchu często widziałem straszliwe zebranie profesorów (gimnazjum jest tylko najdobitniejszym przykładem, ale wszędzie dokoła mnie było podobnie), jak gromadzili się, gdy przeszedłem pierwszą klasę, a więc w drugiej, kiedy przeszedłem drugą, a więc w trzeciej, i tak dalej, aby zbadać ten jedyny w swoim rodzaju przypadek krzyczący wniebogłosy, jak mnie, najbardziej niezdolnemu, a w każdym razie najmniej umiejącemu, udało się prześlizgnąć aż do tej klasy, która, jako że powszechna uwaga była skierowana na moją osobę, natychmiast mnie wypluje ku uciesze wszystkich sprawiedliwych uwolnionych od tej zmory. Nielekko żyć dziecku z takimi wyobrażeniami. Jak w takich warunkach mogła interesować mnie lekcja? Kto byłby w stanie wykrzesać ze mnie choćby iskrę zainteresowania? Lekcja zajmowała mnie - i to nie tylko lekcja, lecz w tym decydującym o rozwoju okresie wszystko dookoła - jak nie przymierzając defraudanta w banku, będącego jeszcze na posadzie i drżącego przed ujawnieniem kradzieży, interesują drobne bieżące sprawy banku, które jako urzędnik wciąż jeszcze ma do załatwienia. Takie małe, takie dalekie było wszystko wobec głównej sprawy. I tak to się ciągnęło aż do matury, przez którą przebrnąłem rzeczywiście po części tylko dzięki małemu szwindlowi, a potem zatrzymało się, teraz byłem wolny. Już mimo nacisku gimnazjum troszczyłem się tylko o siebie, a cóż dopiero teraz, kiedy byłem wolny. A więc nie było dla mnie właściwej swobody wyboru zawodu, wiedziałem: wszystko będzie dla mnie wobec głównej sprawy tak samo obojętne jak wszelkie przedmioty w gimnazjum, chodzi więc o to, by znaleźć zawód, który nie raniąc zbytnio mej próżności, pozwalałby jak najwcześniej na tę obojętność. Prawo narzucało się samo przez się. Skromne próby oporu próżności i bezsensownej nadziei, jak czternastodniowe studiowanie chemii czy

półroczne studia germanistyki, wzmocniły jedynie tamto zasadnicze przekonanie. Studiowałem zatem prawo.

Oznaczało to, że na parę miesięcy przed egzaminami, przy wydatnym współdziałaniu nerwów, karmiłem mój umysł przepisowo duchową papką, która zresztą była już wcześniej przeżuta przez tysiące gąb. Ale właśnie w pewnym sensie smakowało mi to, tak jak wcześniej, również w pewnym sensie odpowiadało mi gimnazjum i zawód urzędnika, gdyż to wszystko znakomicie pasowało do mojej sytuacji. W każdym razie wykazałem tu zdumiewającą zdolność przewidywania, już jako małe dziecko miałem względem studiów i posady dość jasne wyobrażenia. Z tej strony nie spodziewałem się pomocy, tu już od dawna zrezygnowałem.

Nie wykazałem jednak niemal żadnych zdolności przewidywania co do znaczenia i możliwości kryjących się dla mnie w małżeństwie; ta dotychczas największa groza mego życia nawiedziła mnie prawie zupełnie nieoczekiwanie. Dziecko rozwijało się tak powoli, pozornie te sprawy leżały całkiem na uboczu; od czasu do czasu powstawała konieczność pomyślenia o tym; nie można było jednak rozpoznać, że to tu oczekuje mnie trwały, decydujący i nawet najbardziej gorzki egzamin. W rzeczywistości jednak próby małżeństwa były najwspanialszymi i zawierającymi najwięcej nadziei próbami ocalenia, co prawda, odpowiednio do tego, niepowodzenia były również nadzwyczajne. Obawiam się, ponieważ nic nie udaje mi się w tej dziedzinie, że tak samo nie potrafię Ci zrozumiale przedstawić prób małżeństwa. A przecież od tego zależy powodzenie całego listu, gdyż z jednej strony w próbach tych były zsumowane wszystkie siły pozytywne, jakimi rozporządzałem, a z drugiej strony skupiały się tu z furią również wszystkie siły negatywne, które opisałem jako ogólny wynik Twego wychowania, a więc słabość, brak pewności siebie, poczucie

winy, które po prostu stanęły murem pomiędzy mną a małżeństwem. Wyjaśnienie jest dla mnie utrudnione również dlatego, że wszystko to przetrawiałem i przemyśliwałem dniami i nocami, wciąż na nowo, tak że sam już teraz mam nieco pogmatwany pogląd. Wyjaśnienie to będzie ułatwione tylko z powodu, moim zdaniem, kompletnego niezrozumienia całej sprawy przez Ciebie; nie wydaje mi się ciężarem ponad siły zmniejszenie choćby trochę tak zupełnego niezrozumienia.

Przede wszystkim niepowodzenia małżeństw stawiasz w rzędzie moich pozostałych niepowodzeń; nie miałbym osobiście nic przeciw temu, założywszy, że przyjmujesz moje dotychczasowe wyjaśnienie niepowodzeń. Znajdują się one rzeczywiście w tym szeregu, tylko że Ty pomniejszasz znaczenie sprawy i robisz to w taki sposób, że gdy obaj rozmawiamy na ten temat, to właściwie mówimy o dwóch różnych rzeczach. Ośmielę się powiedzieć, że przez całe Twoje życie nie wydarzyło Ci się nic takiego, co miałoby dla Ciebie takie znaczenie, jak dla mnie próby małżeństwa. Nie chcę przez to powiedzieć, że sam nie przeżyłeś nic tak ważnego, wręcz odwrotnie, Twoje życie było bogatsze, bardziej wypełnione troskami i trudniejsze niż moje, ale właśnie dlatego nie wydarzyło Ci się nic w tym rodzaju. To tak jak wtedy, gdy ktoś pokona pięć małych schodków, a drugi tylko jeden, ale ten jeden stopień, przynajmniej dla niego, jest tak wysoki jak tamte pięć razem; a pierwszy pokona nie tylko tych pięć, ale jeszcze setki i tysiące następnych, będzie wiódł bujne i bardzo wyczerpujące życie, ale żaden ze stopni, na które wszedł, nie będzie miał dla niego takiego znaczenia, jak dla tego drugiego ten jeden stopień, pierwszy, wysoki, niemożliwy do pokonania, na który on nie wejdzie i którego oczywiście również nie przekroczy.

Ożenić się, założyć rodzinę, przygarnąć wszystkie dzieci, które przyjdą na świat, dać im utrzymanie w tym niepewnym świecie i jeszcze poprowadzić przez życie to jest według mego przekonania szczytem wszystkiego, co może udać się człowiekowi. Że pozornie tak wielu łatwo to przychodzi, to nie jest kontrargument, gdyż po pierwsze, w rzeczywistości udaje się to nielicznym, a po drugie ci nieliczni nie "robią" tego po większej części, lecz to się zwyczajnie z nimi "dzieje"; nie jest to wprawdzie ten szczyt, ale przecież jednak coś wielkiego i godnego pochwały (zwłaszcza że "robienia" i "dziania się" nie da się tak zwyczajnie rozdzielić).

A w końcu również nie chodzi bynajmniej o te szczyty, lecz tylko o jakieś nawet dalekie, ale znaczne zbliżenie się do tego; nie trzeba przecież koniecznie lecieć prosto w słońce, ale można dopełznąć do jakiegoś czystego skrawka ziemi, na który czasem słońce spogląda, gdzie można się nieco pogrzać w jego promieniach.

A jak byłem przygotowany do tego wszystkiego? Najgorzej, jak tylko można sobie wyobrazić. Wynika to zresztą ze wszystkiego, co do tej pory przedstawiłem. Jeśli idzie o bezpośrednie przygotowanie jednostki po temu i bezpośrednie stwarzanie ogólnych warunków, to Ty na pozór niewiele w tym względzie zdziałałeś. Nie było to zresztą możliwe, decyduje o tym bowiem powszechnie przyjęta obyczajowość, zależna od stanu, narodu i epoki. Mimo to i w te sprawy ingerowałeś, nie za bardzo - bo warunkiem takiego ingerowania może być tylko silne wzajemne zaufanie, a w decydującym okresie już od dawna go między nami nie było - ale i niezbyt szczęśliwie, jako że nasze potrzeby były zupełnie różne; to, co mnie wzrusza, Ciebie musi zaledwie obchodzić, i na odwrót, to, co u Ciebie nie jest przewinieniem, u mnie wywołuje poczucie winy, co u Ciebie nie ma następstw, mnie grzebie bez reszty.

Przypominam sobie, że wieczorami czasem chodziłem z Tobą i z mamą na spacery, to było na Placu Józefa, w pobliżu obecnego Banku Krajowego, i zaczynałem rozmawiać głupio, chełpliwie, z wyższością, z dumą, chłodno (to był fałsz), zimno (to była prawda) i jąkając się, jak właśnie najczęściej rozmawiałem z Tobą o rzeczach najbardziej interesujących, robiłem Wam wyrzuty, że byłem nieuświadomiony, że dopiero koledzy musieli się mną zająć, że znajdowałem się blisko wielkich niebezpieczeństw (tu kłamałem na swój sposób bezwstydnie, aby okazać się dzielnym, gdyż wskutek mej lękliwości nie miałem dokładniejszego wyobrażenia o "wielkich niebezpieczeństwach"), na koniec jednak oznaczało to, że wszystko na szczęście już wiem, nie potrzebuję już żadnej pomocy i wszystko jest w porządku. Zawsze rozmowę zaczynałem od tego, ponieważ sprawiało mi przyjemność, że mogę przynajmniej o tym pomówić, potem również z ciekawości, a w końcu również po to, aby się jakoś na Was za coś tam zemścić. Zgodnie ze swoją naturą, ujmowałeś to bardzo prosto, mówiłeś tylko mniej więcej tyle, że mógłbyś mi poradzić, jak takie rzeczy robić bez niebezpieczeństwa. Może właśnie chciałem sprowokować taką reakcję, która przecież odpowiadała żądzom dziecka karmionego mięsem i wszystkimi innymi dobrymi rzeczami, fizycznie bezczynnego, wiecznie zajmującego się samym sobą, a przecież jednak mój zewnętrzny wstyd był tym tak urażony albo też sądziłem, że jest urażony, iż wbrew sobie nie potrafiłem już rozmawiać więcej z Tobą na ten temat i bezczelnie urywałem rozmowę. Niełatwo jest ocenić Twoją dawną odpowiedź, z jednej strony ma przecież w sobie coś zniewalająco szczerego, do pewnego stopnia pierwotnego, z drugiej zaś strony jest, co się tyczy samej nauki, bardzo współcześnie pozbawiona skrupułów. Nie wiem, ile miałem wtedy lat, na pewno nie więcej niż szesnaście. Dla takiego chłopaka była to jednak bardzo osobliwa odpowiedź, a dystans między nami oboma uwidaczniał się też w tym, że to była zasadniczo pierwsza

życiowa nauka, jaką otrzymałem od Ciebie. Jednak jej właściwy sens, który już wtedy głęboko zapadł we mnie, ale dopiero dużo później dotarł częściowo do mej świadomości, był następujący: to, do czego mnie nakłaniałeś, było przecież według Twego mniemania, a cóż dopiero według mego ówczesnego sądu, czymś najbrudniejszym, co tylko może być.

Że troszczyłeś się o to, iżbym przez mą cielesność nie wniósł do domu brudu, to było sprawą uboczną, w ten sposób ochraniałeś przecież tylko siebie, swój dom. Sprawą zasadniczą było raczej to, że Ciebie ta rada nie dotyczyła, małżonek, nieskalany mąż, wyższy ponad takie rzeczy: zaostrzało się to wtedy w moim odczuciu prawdopodobnie jeszcze dlatego, rüe i małżeństwo przedstawiało się dla mnie równie bezwstydnie, i dlatego niemożliwe było, abym to, co powszechnie słyszałem o małżeństwie, odnosił do moich Rodziców. Przez to stawałeś się dla mnie jeszcze bardziej niepokalany, wznosiłeś się jeszcze wyżej. Myśl, że, powiedzmy, mógłbyś przed małżeństwem dać podobną radę również sobie, nie mieściła mi się w głowie. W ten sposób nie pozostawała na Tobie nawet resztka ziemskiego brudu. I właśnie Ty strącałeś mnie kilkoma słowami, tak jakbym był do tego przeznaczony, w ten brud. Gdyby więc świat składał się tylko z Ciebie i ze mnie, wyobrażenie, którego byłem bardzo bliski, to wtedy czystość tego świata kończyłaby się na Tobie, a ode mnie zaczynałby się mocą Twego słowa brud. Samo w sobie niepojęte było to, że mnie tak odsądzałeś od czci i wiary, tylko zastarzała wina i najwyższa pogarda z Twej strony mogły mi to wyjaśnić. I w ten sposób byłem zatem znów ugodzony w najintymniejszą stronę mego ja, i to w sposób bardzo dotkliwy.

Tu również chyba najdobitniej widać niewinność nas obu. A daje B szczerą radę, odpowiadającą jego pojmowaniu życia, niezbyt piękną, ale przecież i dzisiaj praktykowaną w

mieście, zapobiegającą być może szkodliwym skutkom dla zdrowia. Dla B ta rada nie jest zbyt budująca pod względem moralnym, lecz czemu nie miałby nadrobić szkód w nadchodzących latach, zresztą on przecież absolutnie nie musi iść za tą radą, a w każdym razie w niej samej nie ma żadnego powodu, żeby raptem dla B walił się w gruzy prawie cały jego przyszły świat. A jednak wydarzyło się coś w tym rodzaju, ale właśnie tylko dlatego, że Ty jesteś A, a ja jestem B.

Ten brak winy z obu stron mogę szczególnie dobrze ogarnąć wzrokiem również dlatego, że podobna rzecz wydarzyła się między nami w całkiem innych warunkach, mniej więcej dwadzieścia lat później, jako fakt straszna, sama zaś w sobie o wiele mniej szkodliwa, cóż bowiem może zaszkodzić mi teraz, gdy mam trzydzieści sześć lat. Mam tu na myśli rozmowę podczas jednego z tych kilku nerwowych dni po oznajmieniu mojego ostatniego zamiaru małżeństwa. Powiedziałeś wtedy do mnie coś w tym rodzaju: "Prawdopodobnie włożyła jakąś ekscentryczną bluzkę, jak to robią praskie Żydówki, i wskutek tego oczywiście zdecydowałeś się wziąć z nią ślub. I to najszybciej, jak tylko możliwe, za tydzień, jutro, dziś. Nie pojmuję Cię, jesteś przecież dorosłym mężczyzną, mieszkasz w mieście i nie umiesz znaleźć innej rady, jak tylko zaraz żenić się z pierwszą lepszą. Czy nie ma już innych możliwości? Jak się boisz, to sam z tobą tam pójdę." Mówiłeś wyraźniej i dokładniej, ale nie potrafię przypomnieć sobie szczegółów, może zresztą pociemniało mi trochę w oczach; zainteresowała mnie bardziej matka, która, całkowicie wprawdzie zgodna z Tobą, wzięła wtedy coś ze stołu i wyszła z pokoju. Jeszcze chyba nigdy nie upokorzyłeś mnie bardziej słowem i nigdy wyraźniej nie okazałeś mi swej pogardy. Gdy dwadzieścia lat temu podobnie przemawiałeś do mnie, można by w tym, co wtedy mówiłeś, dojrzeć nawet nieco uznania dla wcześnie dojrzałego chłopaka z miasta, który

według Ciebie mógł być już bez okrężnych dróg wprowadzony w życie. Dzisiaj ten wzgląd mógłby tylko jeszcze wzmocnić pogardę, bo chłopak, który wtedy nabierał rozpędu, zatrzymał się w nim, i wydaje Ci się dzisiaj nie bogatszy o żadne doświadczenia, lecz tylko o dwadzieścia lat żałośniejszy. Moja decyzja co do dziewczyny zupełnie nic dla Ciebie nie znaczyła. Zawsze tłumiłeś (nieświadomie) moją decyzję i sądziłeś teraz (nieświadomie), że wiesz, co jest warta. O mych próbach ratunku w innych kierunkach nic nie wiedziałeś, a więc z tej przyczyny nie mogłeś nic wiedzieć o łańcuchu myśli, które mnie zawiodły ku tej próbie małżeństwa, musiałeś próbować odgadnąć je i doradziłeś mi, odpowiednio do Twego ogólnego sądu, jaki miałeś o mnie, to, co najohydniejsze, najbardziej grubiańskie, najnędzniejsze. I nie wahałeś się ani chwili, żeby mi to w taki właśnie sposób powiedzieć. Hańba, którą mnie okryłeś, była dla Ciebie niczym w porównaniu z hańbą, którą, w Twoim rozumowaniu, obciążyłbym Twoje nazwisko, żeniąc się. Teraz możesz mi niejedno odpowiedzieć, jeśli chodzi o moje próby małżeństwa, co też uczyniłeś: nie mogłeś mieć zbyt dużo respektu wobec mojej decyzji, skoro dwakroć zrywałem zaręczyny z F. i dwakroć odbywały się one na nowo, skoro niepotrzebnie ciągnąłem Ciebie i matkę do Berlina, i temu podobne rzeczy. To wszystko prawda, ale jak do tego doszło? Zasadnicza idea obu prób małżeństwa była zupełnie bez zarzutu: założyć ognisko domowe, stać się samodzielnym. Idea, sympatyczna przecież dla Ciebie, tyle tylko że w rzeczywistości wychodzi to tak jak w dziecięcej zabawie, gdzie jedno trzyma drugie, a nawet ściska, i przy tym woła: "No idź, idźże, dlaczego nie idziesz?" W naszym przypadku skomplikowało się to dlatego, że chociaż owo "idźże!" od dawna szczerze myślałeś, to tak samo od dawna, tylko nie wiedząc o tym, swą osobowością trzymałeś mnie, lub lepiej, powstrzymywałeś.

Obie dziewczyny były wybrane przez przypadek, ale nadzwyczaj trafnie. Znów oznaka Twego kompletnego niezrozumienia, jeśli mogłeś sądzić, że ja, strachliwy, ociągający się i podejrzliwy, zdecyduję się raptem na małżeństwo, powiedzmy z zachwytu nad jakąś bluzką. Obydwa małżeństwa byłyby raczej związkami z rozsądku, chcę przez to powiedzieć, że dzień i noc za pierwszym razem przez lata, a za drugim razem miesiącami, całą moją siłę myślenia poświęcałem temu planowi. Żadna z dziewcząt nie rozczarowała mnie, ale ja rozczarowałem je obie. Mój sąd o nich jest dzisiaj taki sam jak wtedy, gdy chciałem się z nimi żenić.

To nieprawda, że przy drugiej próbie małżeństwa zlekceważyłem doświadczenia wypływające z pierwszej próby, czyli że byłem lekkomyślny. Przypadki były akurat zupełnie różne, właśnie wcześniejsze doświadczenia mogły mi w drugim przypadku, który w ogóle niósł więcej perspektyw, dawać nadzieję. O szczegółach nie chcę tu mówić.

Dlaczego więc nie ożeniłem się? Było kilka przeszkód, jak wszędzie, lecz z pokonywania takich przeszkód składa się przecież życie. Jednak istotną przyczyną, niezależną niestety od poszczególnego przypadku, było to, że jestem wyraźnie niezdolny psychicznie do zawarcia małżeństwa. Wyraża się to w tym, że od momentu, gdy zdecyduję się ożenić, nie sypiam, głowa mi płonie dniami i nocami, to już nie życie, zrozpaczony łażę z kąta w kąt. Właściwie to nie troski to powodują, chociaż mają również w tym udział niezliczone kłopoty, wynikające z mojej ociężałości i pedanterii, ale one nie decydują, kończą wprawdzie jak robactwo pracę nad zwłokami, ale ostatecznie jestem napiętnowany czymś innym. Jest to ogólne przytłoczenie strachem, słabością, pogardą dla samego siebie.

Spróbuję to bliżej wyjaśnić: To przy próbie małżeństwa spotyka się w moich stosunkach z Tobą pozornie dwojakie przeciwieństwo, tak silne, jak poza tym nigdzie więcej. Małżeństwo jest z pewnością rękojmią najskuteczniejszego uwolnienia siebie i niezależności. Miałbym rodzinę, najwyższą wartość, którą według mnie można osiągnąć, a więc taką samą najwyższą wartość, jaką Ty osiągnąłeś, i dorównałbym Ci, cała stara i wiecznie nowa hańba i tyrania byłyby po prostu już tylko historią. To brzmi co prawda jak bajka, ale w tym tkwi właśnie już problem. To za wiele, tyle nie da się osiągnąć. To tak, jak gdyby człowiek został uwięziony i nie tylko miałby zamiar uciec, co może byłoby osiągalne, lecz nadto jeszcze, i to jednocześnie, chciałby przebudować więzienie w pałac letni dla siebie. Jeśli jednak ucieknie, to nie przebuduje, a jeśli przebuduje, to nie ucieknie. Jeśli ja, będąc w tym szczególnie niefortunnym stosunku do Ciebie, zechcę usamodzielnić się, to muszę zrobić coś, co nie będzie miało w miarę możności żadnego związku z Tobą; małżeństwo jest mianowicie czymś największym i daje najzaszczytniejszą samodzielność, lecz również jest jak najściślej związane z Tobą. Dlatego chęć wyjścia stąd ma w sobie coś z szaleństwa, i każda nieomal próba będzie nim ukarana.

A właśnie ten ścisły związek kusi mnie przecież częściowo do ożenku. Myślę tu o równości, jaka wtedy nastąpiłaby między nami, i jaką Ty potrafiłbyś zrozumieć jak żadną inną, dlatego właśnie pięknej, że wtedy mógłbym być wolnym, wdzięcznym, pozbawionym poczucia winy dobrym synem, a Ty Ojcem, który nie byłby przygnębiony, nie tyranizowałby, lecz byłby współczujący i zadowolony. Ale żeby to osiągnąć, wszystko, co się zdarzyło, musiałoby nie mieć miejsca - to znaczy, my sami musielibyśmy zostać wymazani z życia.

To jednak, co teraz jest między nami, zamyka mi drogę do małżeństwa, ponieważ małżeństwo jest Twoją najbardziej

własną dziedziną. Niekiedy wyobrażam sobie rozwieszoną mapę kuli ziemskiej i Ciebie rozciągniętego na niej w poprzek. I wtedy wydaje mi się, że dla mego życia wchodziłyby w rachubę tylko te tereny, których Ty nie przykrywasz albo których nie masz w zasięgu ręki. I są to, zgodnie z moimi wyobrażeniami o Twej wielkości, niezbyt liczne i nie bardzo pocieszające obszary, a zwłaszcza nie ma wśród nich małżeństwa.

Już to porównanie dowodzi, iż w żadnym przypadku nie chcę powiedzieć, żeś mnie swoim przykładem od małżeństwa odstraszał, tak jak, powiedzmy, od sklepu. Wręcz przeciwnie, mimo wszelkiego dalekiego podobieństwa. W Waszym małżeństwie widziałem jeden z wielu godnych naśladowania związków, godnych naśladowania w wierności, wzajemnej pomocy i liczby dzieci, a nawet potem, gdy dzieci dorosły i coraz bardziej burzyły wasz spokój, małżeństwo pozostało nietknięte. Właśnie chyba na tym przykładzie kształtowało się również moje wysokie wyobrażenie o małżeństwie; że moje pragnienie małżeństwa było bezsilne, to miało akurat inne przyczyny. Tkwiły one w Twoim stosunku do dzieci, o którym przecież traktuje ten cały list.

Istnieje przekonanie, według którego strach przed małżeństwem wypływa niekiedy stąd, że człowiek obawia się, iż mu potem dzieci odpłacą za to, czym sam zgrzeszył wobec własnych rodziców. Sądzę, że w moim przypadku nie ma to większego znaczenia, bo moje poczucie winy wywodzi się przecież właśnie z Twego wpływu i jest także za bardzo przeniknięte swoją wyjątkowością, to uczucie wyjątkowości należy nawet do jego dręczącej natury, powtórzenie jest nie do pomyślenia. W każdym razie muszę powiedzieć, że taki niemy, tępy, oschły, marnotrawny syn, byłby dla mnie nie do zniesienia, i gdyby nie było innego wyjścia, chyba byłbym uciekł przed nim, wywędrował, jak to Ty najpierw chciałeś zrobić z powodu mego zamiaru małżeństwa. A więc

w mej niezdolności do małżeństwa mógłbym być również i pod tym wpływem.

O wiele ważniejszy jest jednak przy tym lęk o siebie. Należy to tak rozumieć: Już zaznaczałem, że w pisarstwie i w tym, co się z nim wiąże, czyniłem małe próby samodzielności, próby ucieczki z najmniejszym powodzeniem, ale one niedaleko prowadzą, wiele mi to potwierdza. A jednak jest to mój obowiązek, albo raczej: moje życie polega na tym, aby czuwać nad nimi, po to, by nie dopuścić żadnego niebezpieczeństwa, które potrafię odeprzeć, ba, nawet jego możliwości. Małżeństwo jest możliwością takiego niebezpieczeństwa, Wprawdzie również możliwością najsilniejszego wsparcia, mnie jednak wystarcza, że to jest możliwość niebezpieczeństwa. Co ja bym począł, gdyby ono stało się niebezpieczeństwem! Jak mógłbym dalej żyć w małżeństwie, w niedającym udowodnić się, ale i w bądź co bądź niezaprzeczalnym poczuciu tego niebezpieczeństwa! Mogę wprawdzie co do tego się wahać, ale rezultat jest pewny, muszę rezygnować. Porównanie z wróblem w garści i gołębiem na dachu pasuje tutaj tylko trochę. W ręce nie ma nic, na dachu jest wszystko, a przecież muszę - tak rozstrzygają stosunki wojenne i nędza życia - wybrać właśnie nic. Podobnie musiałem też postąpić przy wyborze zawodu.

Najważniejszą przeszkodą do zawarcia małżeństwa jest jednak niezbite przekonanie, że do utrzymania rodziny, i w ogóle do kierowania nią niezbędne jest to wszystko, co dostrzegłem u Ciebie, i to wszystko razem wymieszane, dobre i złe, tak jak to organicznie jest zjednoczone w Tobie, a więc siła i szydzenie z drugiego, zdrowie i pewnego rodzaju nieumiarkowanie, uzdolnienia oratorskie i nieudolność, zadufanie w sobie i niezadowolenie z drugiego człowieka, poczucie wyższości wobec innych i tyrania, znajomość ludzi i nieufność wobec większości, a potem

również i zalety, bez żadnych wad, jak pilność, wytrwałość, przytomność umysłu, śmiałość. Z tego wszystkiego, porównując, nie mam prawie nic lub tylko bardzo mało, i z tym chciałem się ośmielić żenić, widząc przecież, że Ty, sam w małżeństwie walczyłeś ciężko, a nawet zawodziłeś wobec dzieci? Tego rodzaju pytań nie stawiałem sobie, naturalnie, wyraźnie, i oczywiście wyraźnie na nie nie odpowiadałem, inaczej normalne myślenie opanowałoby sprawę i ukazałoby mi innych mężczyzn, którzy są odmienni (jak nie przymierzając z otoczenia bardzo różniącego się od Ciebie: wuj Ryszard), a jednak ożenili się i nawet się przez to nie załamali, co już jest dużym osiągnięciem, a mnie starczyłoby tego z nadmiarem. Ale tego pytania właśnie nie postawiłem, lecz przeżywałem je od czasu dzieciństwa. Analizowałem siebie przecież nie dopiero w obliczu małżeństwa, lecz w obliczu każdej drobnostki; w obliczu drobnostki przekonywałeś mnie Twym przykładem i Twym wychowywaniem, tak jak to usiłowałem tu opisać, o mojej niezdolności, a to, co zgadzało się przy najmniejszej drobnostce i przyznawało rację Tobie, musiało oczywiście się zgadzać w sposób jeszcze okropniejszy w obliczu rzeczy wielkiej, a więc małżeństwa. Aż do próby małżeństwa rosłem, powiedzmy, jak kupiec, który żyje z dnia na dzień nie prowadząc dokładnie ksiąg, wśród kłopotów i najgorszych przeczuć. Ma parę drobnych zysków, które wskutek ich rzadkości wciąż hołubi i wyolbrzymia w swojej wyobraźni, a oprócz tego tylko codzienne straty. Wszystko jest księgowane, ale nigdy bilansowane. Teraz nadchodzi przymus bilansu, to znaczy próba małżeństwa.

I oto okazuje się, przy większych sumach, które teraz, trzeba zliczyć, że nie tylko nie ma najdrobniejszego zysku, lecz wszystko jest jednym wielkim długiem. I żeń się teraz, będąc przy zdrowych zmysłach!

Tak oto kończy się moje dotychczasowe życie z Tobą i takie perspektywy ma ono w sobie na przyszłość.

Mógłbyś tak odpowiedzieć, gdy przejrzysz uzasadnienie lęku, który odczuwam wobec ciebie: "Twierdzisz, że, ułatwiam sobie zadanie tłumacząc mój stosunek do Ciebie po prostu Twą winą, ale myślę, że mimo największego wysiłku, czynisz ten fakt nie trudniejszym dla siebie, lecz o wiele bardziej znośnym. Po pierwsze również zrzucasz z siebie wszelką winę i odpowiedzialność, w tym nasza metoda jest wspólna. Podczas jednak gdy ja tak otwarcie, jak sądzę, przypisuję Tobie wyłącznie winę, Ty jednocześnie chcesz być przemądrzaly i przewrażliwiony i mnie również rozgrzeszasz z wszelkiej winy. Oczywista, że to ostatnie udaje Ci się tylko pozornie (więcej zresztą nie chcesz), i okazuje się między wierszami, mimo wszelkich peror o istocie i naturze, i przeciwieństwie, i bezradności, że właściwie to ja byłem atakujący, podczas gdy wszystko, co Ty robiłeś, było tylko samoobroną. Teraz byłbyś więc osiągnął wystarczająco dużo swoją nieszczerością, ponieważ dowiodłeś trzech rzeczy, po pierwsze, że Ty jesteś niewinny, po drugie, że ja jestem winien, a po trzecie, że Ty jesteś gotów nie tylko przebaczyć mi w swej znanej wspaniałomyślności, lecz ni mniej, ni więcej, jeszcze chcesz również udowodnić i sam w to uwierzyć, że ja, w istocie rzeczy niezgodnie z prawdą, również nie jestem winien. To już mogłoby Ci teraz wystarczyć, ale Tobie jeszcze mało. Wbiłeś sobie mianowicie do głowy, że chcesz żyć całkowicie moim kosztem. Dodam, że ze sobą walczymy, ale są dwa rodzaje walki. Walka rycerska, gdzie liczą się tylko siły przeciwników, każdy jest zdany na siebie, traci dla siebie, zwycięża dla siebie. I jest walka robaka, który nie tylko kłuje, lecz dla utrzymania swego życia jeszcze wysysa krew. To jest przecież prawdziwy żołnierz zawodowy, i to jesteś Ty. Jesteś niezaradny; lecz aby móc się z tym wygodnie urządzić, beztrosko i bez wyrzutów wobec samego siebie,

dowodzisz, że ja odebrałem Ci całą Twoją zaradność życiową i wsadziłem ją sobie w kieszeń. Cóż to Ciebie teraz obchodzi, skoro jesteś niezaradny, ja przecież ponoszę odpowiedzialność, Ty zaś spokojnie przeciągasz się i fizycznie i psychicznie odpełzasz ode mnie w życie. Oto przykład: Gdy ostatnio chciałeś się żenić, to chciałeś, przyznajesz to przecież w tym liście, jednocześnie nie żenić się, chciałeś jednak, aby samemu nie musieć się wysilać, żebym ja Ci dopomógł do nieożenienia się, gdy zabronię Ci się ożenić z powodu "hańby", którą ten związek przyniósłby memu nazwisku. To mi jednak tu zupełnie nie pasuje. Po pierwsze, tym razem chciałem, jak nigdy, "nie stać Twemu szczęściu na przeszkodzie", a po drugie, nie chcę nigdy więcej słyszeć tego rodzaju zarzutu od mojego dziecka. Czy jednak coś mi pomogło przezwyciężenie siebie samego, dzięki czemu zostawiłem Ci zupełnie swobodną ręką co do tego małżeństwa? W najmniejszej mierze nie pomogło. Moja niechęć do małżeństwa nie byłaby przeszkodą, przeciwnie, sama w sobie byłaby podnietą dla Ciebie, aby ożenić się z dziewczyną, ponieważ ta "próba ucieczki", jak się wyrażasz, byłaby się przez to całkowicie udała. A moje pozwolenie na małżeństwo nie powstrzymałoby Twych zarzutów, ponieważ dowodzisz przecież, że jestem w każdym przypadku winien Twemu nieożenieniu się. W istocie rzeczy, w tym i w innych przypadkach nie udowodniłeś mi nic innego, jak tylko to, że moje wszelkie zarzuty były słuszne i że brakowało wśród nich jeszcze jednego, szczególnie usprawiedliwionego zarzutu, a mianowicie zarzutu nieszczerości, służalczości i pasożytnictwa. Jeśli nie bardzo się mylę, to pasożytujesz na mnie jeszcze i tym listem."

Na to ja odpowiem, że przede wszystkim ten cały zarzut, który da się po części odwrócić przeciw Tobie, nie pochodzi od Ciebie, lecz właśnie ode mnie. Twoja nieufność wobec innych nie jest przecież tak wielka jak mój brak zaufania do samego siebie, w czym Ty mnie przecież wychowywałeś. Nie

wypieram się pewnej słuszności tego zarzutu, który sam w sobie wnosi jeszcze coś niecoś nowego do charakterystyki naszego stosunku. W rzeczywistości sprawy nie mogą do siebie tak pasować, jak dowody w moim liście, życie jest czymś więcej niż pasjansem; ale dzięki poprawce, wynikającej z tego zarzutu, poprawce, której w szczegółach ani nie umiem zrobić, ani nie chcę, udało się osiągnąć według mnie jednak coś tak bardzo zbliżonego do prawdy, że to nas obu nieco uspokoi i może uczynić łatwiejszymi życie i śmierć.

Franz